



JUDY GRIFFITH GILL



Kopciuszek z zatoki

ROZDZIAŁ PIERWSZY



- Na strych? Mam wejść na strych?

Lissa Wilkins patrzyła z niedowierzaniem na Rosę Macurdy, szefową kuchni zajazdu „Madrona”. Rosa stała przed recepcyjnym kontuarem, uginając się pod ciężarem ogromnego plecaka. Z jej kręconych siwych włosów kapała woda.

- Brrr, przecież tam pełno pajaków!

- Ciii!

Rosa rozejrzała się dookoła. Lissa przyglądała się jej zdziwiona: komu chciałoby się podsłuchiwać ich rozmowę? W piątek, kwadrans po jedenastej wieczorem? Starsi goście, którzy co roku przyjeżdżali tu, by trochę odpocząć nad morzem, dawno byli już w łózkach. Młodszy z kolei woleli się bawić, więc nadal siedzieli w „Chuckles”, najpopularniejszej knajpie w Madrona Cove.

- Wiedziałam, że na mnie się skrupi - powiedziała Rosa. - To nie był mój pomysł.

Starsza pani zaczęła ściągać z ramion plecak. Lissa pośpieszyła jej na pomoc.

- Reggie chce, żebyś tam weszła - dodała Rosa, masując ramiona. - Twierdzi, że to konieczne.

Reggie, do którego obowiązków należało wykonywanie drobnych napraw w zajeździe, miał zamontować magnetofony nad pokojem Steve'a Jacksona. Jackson powinien być o tej porze w barze po drugiej stronie ulicy.

- A dlaczego Reggie uważa, że koniecznie ja mam to zrobić?

W końcu to on jest konserwatorem. Ja pracuję w recepcji. Mam wrażenie, że odwiedzanie strychów i spotkania z pajakami nie należą do moich obowiązków służbowych. Jak również - kontynuowała - dźwiganie ciężarów do twoich. Zaczynasz pracę dopiero za jakieś pięć godzin. Dlaczego nie jesteś w domu, w łóżku, Roso?

Rosie brakowało trzech miesięcy do emerytury. Ostatnio wyraźnie się postarzała. Zbyt ciężko pracowała i zaczynało to przekraczać jej siły. Lissa miała nadzieję, że jej ojciec w końcu się zdecyduje i poprosi Rosę o rękę.

- Reg skrzył nogę - wyjaśniła Rosa. - Twój ojciec jest teraz na górze i sprawdza wszystkie sprężyny i druty.

- Pozwoliłaś ojcu wdrapać się na górę po tych schodach?! - wrzasnęła Lissa.

Według niej schody były zdecydowanie zbyt strome i zbyt wysokie jak na siły jej ojca.

- Ciszej, Lisso. - Rosa rozejrzała się nerwowo dookoła. - Znasz swojego ojca. Jak niby miałam go powstrzymać? Reggie jego pierwszego zawiadomił o swoim wypadku. I tak dobrze, że byłam w „Chuckles”, kiedy zadzwonił. Ojciec od razu popędził do zajazdu. Na razie jeszcze nie wszedł na strych, ale...

Zamilkła i wbiła wzrok w Lissę.

- No dobra - mruknęła Lissa.

Nie było rzeczy, której by nie zrobiła dla swojego ojca. Dwa lata temu zrezygnowała z pracy w wielkim hotelu, by pomagać mu w zajeździe. To była jednak pestka w porównaniu z pajakami, które - nie miała wątpliwości - czekają na nią na górze.

- Szkoda tylko, że nie zadzwoniłaś, kiedy byłam jeszcze w domu. Wzięłabym jakieś dzinsy i trampki zamiast tego - wskazała na długą, bawełnianą spódnicę i stylowe, skórzane drewniaki. Większość personelu zajazdu ubierała się prosto i wygodnie, ale Lissa czuła się pewniej w spódnicy. Choć z drugiej strony, z ulgą porzuciła minispódniczki i buty na wysokich obcasach. Wkładała je tylko na specjalne okazje. W końcu, jeśli mieszka się na łodzi, to szpilki nie są najpraktyczniejszym obuwem.

- Włóż moje sandały. - Rosa zrzuciła z nóg zniszczone obuwie.

Lissa roześmiała się głośno.

- Są za duże. Już lepiej pójdę na bosaka.

- Jak chcesz. Ale jeśli wejdiesz bosą stopą na pajaka, to nie przylatuj do mnie z płaczem.

Lissa wzdrygnęła się i zdecydowanym ruchem wsunęła stopy w sandały Rosy, zarzuciła plecak na jedno ramię i ruszyła w stronę służbowych schodów, usytuowanych na tyłach biura.

- Reggie wymierzył wszystko i ustawił skrzynię na legarze dokładnie nad łóżkiem Jacksona. - Rosa ruszyła za Lissą w stronę schodów. - Powiedział, że musisz tylko przeciągnąć przedłużacz, włożyć kasety do magnetofonów, nastawić zegary i już możesz uciekać. Poczekał tu, a gdyby przyszedł Jackson, zajmę go opowieściami o twojej drogiej, zmarłej, wciąż do nas powracającej prababce.

- Tylko nie pozwól mu iść do pokoju - ostrzegła starszą panią Lissa.

Na wąskich schodach minęła się z ojcem. Frank Wilkins, wysoki, przystojny mężczyzna z króciutko przyciętymi, kręconymi, stalowoszarymi włosami i błyszczącymi niebieskimi oczami był najwyraźniej w swoim żywiole. Schodząc, trzymał się drewnianej poręczy. Lissa pomyślała, że ojciec wygląda tak, jakby głaskał skórę ubóstwianej kobiety. Frank kochał zajazd.

Ojciec dał Lissie jeszcze kilka ostatnich wskazówek i zszedł na dół. Wyglądało na to, że zarówno jego, jak i Rosę bawi cała ta konspiracja.

Konspiracja! Według Lissy plan był absurdalny: przekonać Steve'a Jacksona, że w zajęździe „Madrona” straszy. Ale skoro jej ojciec tego chciał, Lissa nie wahała się długo. Jeszcze tylko kilka tygodni i zajazd stanie się w końcu ich własnością. Najpierw jednak Steve Jackson musi dojść do wniosku, że to miejsce nie jest warte zachodu i pieniędzy jego ojca.

Tylko czy na pewno Steve Jackson był tym człowiekiem, o którego chodziło? Chyba tak. Kim innym mógłby być? I po cóż innego miałby tutaj przyjechać?

Piątemu z kolei, wiecznie nieobecnemu właścicielowi zupełnie nie zależało na zajęździe, wobec tego znowu wystawiono go na sprzedaż. W mieście zawiązał się specjalny komitet, który zamierzał złożyć ofertę kupna. Zajmujący się sprawą sprzedaży zajazdu pośrednik John Drysdale ostrzegł na boku komitet, że kupnem interesuje się „ktoś z biznesu turystycznego”.

Na początku ojciec Lissy myślał, że Drysdale próbuje po prostu podbić cenę, ale zaniepokoił się, kiedy człowiek nazwiskiem Steve Jackson zarezerwował pokój w zajęździe na całe trzy tygodnie. Nietrudno było połączyć te dwie sprawy.

Sieć hoteli Jacksonów była jedną z największych i najpopularniejszych po tej stronie Gór Skalistych. Steven M. Jackson przez ostatnie sześć lat kupował wszystko, co się dało. Szczególnie upodobał sobie stare, zniszczone domiszcza, które nabywał za przysłowiowego centa, wyburzał, a na ich miejscu stawiał coś nowego, błyszczącego i przeraźliwie nowoczesnego. To nie do pomyślenia - taki budynek w Madrona Cove...

Jackson przysłał do zajazdu „Madrona” swojego syna prawdopodobnie po to, by ten znalazł na miejscu jakieś usterki, dzięki którym uda się zbić cenę. Proszę bardzo - młody Jackson znajdzie tu więcej braków, niż będzie w stanie znieść. A wtedy oferta Jacksonów będzie niższa od propozycji komitetu miejskiego.

Determinacja miejscowych była tak duża, że Lissa gotowa była znieść nawet spotkanie z pajakami.

Zatrzymała się właśnie na małym podeście koło drzwi na strych, pogrzebała chwilę w plecaku i wyciągnęła wszystko, co mogłoby być jej potrzebne.

Otworzyła drzwi. Pusta przestrzeń pod dachem wzmacniała jeszcze odgłosy letniej burzy. Wiatr zawodził upiornie, deszcz smagał głośno gonty, chłostał małe okienko umieszczone w szczycie budynku od strony zatoki.

Lissa włączyła latarkę, odszukała wiszącą na drucie gołą żarówkę, wykręciła ją i odłożyła ostrożnie na jeden z gratów, które Frank Wilkins dumnie nazywał jej posagiem. Do drutu przykręciła szybko przyniesione ze sobą gniazdko i podłączyła do niego czarny przedłużacz. Ruszyła na palcach w stronę tej części strychu, która znajdowała się nad pokojami gości.

W świetle latarki widziała przed sobą rzędy belek. Musiała po nich przejść, by dostać się do miejsca wyznaczonego przez kufer ustawiony przez Reggie'ego. Miała wrażenie, że punkt, w którym pochyłość dachu styka się z podłogą, leży całe kilometry od niej.

Wstrzymała oddech i postawiła ostrożnie stopę na pierwszym legarze, potem na następnym i jeszcze następnym... Powoli przesuwała się do przodu, rozwijając przedłużacz i modląc się, by o nic nie zahaczył i nie pozbawił jej równowagi. W którymś momencie zmuszona była przykucnąć i poruszać się dalej w tej pozycji, bo dach był coraz niżej. Ruchy krępowała jej długa spódnica, zatrzymała się więc na moment, podciągnęła ją do góry i założyła za pasek.

Kiedy w końcu dotarła na miejsce, postawiła plecak na skrzyni, wyjęła z niego magnetofony, ustawiła je na belkach, nastawiła zegary i podłączyła wszystko do prądu za pomocą przedłużacza. Zegary zaczęły cicho tykać. Pierwszy z nich nastawiony był na wpół do drugiej w nocy, drugi - na trzecią trzydzieści.

Jęki, łkanie, demoniczny śmiech... czy to wystarczy, by przerwać sen Steve'a Jacksona? Czy go przestraszy? I, co najważniejsze, czy skłoni go do przedstawienia ojcu negatywnej opinii o zajeździe?

Lissa szczerze w to wątpiła, ale jej stanowisko było wyjątkowe wśród członków komitetu.

Miała nadzieję, że stare gipsowe płyty wytrzymają ciężar sprzętu. Nachyliła się, by postawić na nich jeden z magnetofonów, i właśnie wtedy z ciemności wynurzył się wielki, czarny pająk...

Kiedy zobaczyła go na grzbiecie swojej dłoni, krzyknęła przeraźliwie, odskoczyła do tyłu i poczuła, że jej stopa wchodzi w podłogę

jak w masło. Po chwili wisiała zakleszczona w wyrwie w suficie, dokładnie nad łóżkiem Steve'a Jacksona.

Stary zajazd skrzypiał upiornie w rytmie uderzeń wiatru i deszczu, które z nie słabnącą siłą napierały na okna pokoju. Steve siedział oparty o poduszki spiętrzone w głowach mosiężnego łóżka. Jego nastrój był równie posepny jak pogoda. To mają być wakacje! Może trzeba było zostać w barze i dać się poderwać rudej piosenkarce. Jakoś jednak nie był w nastroju. Nie szło mu również czytanie thrillera, do czego próbował się zmusić przez ostatnie pół godziny. Książka, tak samo jak zajazd „Madrona”, była przereklamowana.

Problem polegał na tym, że Steve wcale nie miał ochoty na wakacje. Kiedy wygasł jego kontrakt i nie dostał żadnej nowej propozycji, pomyślał o trzech ostatnich latach pracy bez urlopu i o tym, że należy mu się trochę odpoczynku. Czemu nie właśnie teraz?

Nagle dobiegło go długie, przeciągłe wycie, po czym gwałtownie zapadła cisza.

Czy już ją pan widział? Czy ją pan spotkał? Chyba pan wie, że w zajeździe straszy?

Wciąż słyszał te pytania: od personelu zajazdu, od ludzi poznanych w „Chuckles” - miejscowej spelunce. Za każdym razem odpowiadał, że nie wierzy w duchy. I było to zgodne z prawdą. Jednak gdyby tylko popuścił wodze fantazji, musiałby przyznać, że w wietrze gwiżdżącym za oknem jest coś niesamowitego.

Uwagę Steve'a przyciągnął głuchy dźwięk dobiegający z góry.

- Idiota - wymamrotał do siebie. - Doskonale wiesz, że nie ma takich rzeczy jak... Aaaaa!

Wrzasnął, kiedy z góry posypał się na niego deszcz okruchów tynku i gruzu. Szybko sturlał się z łóżka. Nie do wiary! On, nieustraszony nurek głębinowy, badacz nieznanych morskich toni, krzychał ze strachu! Uciekał! Na szczęście jego własny, kompromitujący okrzyk został zagłuszony przez pełen udręki ryk dochodzący z góry. Z dziury w suficie dokładnie nad jego łóżkiem zwieszała się para zdecydowanie zgrabnych kobiecych nóg. Stopy w brązowych sandałach wierzgały gwałtownie w powietrzu.

- Spokojnie! - krzyknął Steve, wskakując z powrotem na łóżko. Udało mu się chwycić jedną z gładkich, ciepłych, szczupłych kostek. Druga noga wymierzyła mu tymczasem kopniaka w twarz. Z nosa trysnął potok krwi, plamiąc białe prześcieradła i poduszki.

- Puszczaj! - wrzeszczała kobieta. Steve'a prawie zaślepiły łzy bólu.

- Puszczaj? Zwariowałaś, czy co? - Aby nie stracić kontroli nad sytuacją, otoczył ramieniem nogi kobiety na wysokości kolan i przycisnął je mocno do własnych barków. - Przecież próbuję ci pomóc. Więc, z łaski swojej, uspokój się! - Szarpnął i poczuł, że jej ciało opadło niżej.

Nie zastanawiając się nad tym dłużej, podłożył dłoń pod jej pośladki. Chciał, by zsunęła się w dół jak najłagodniej i najmniej boleśnie.

- Ręce przy sobie, świntuchu!

- Rany! - Przesunął dłoń niżej. - Myślisz, że mnie się to podoba? -

Popatrzył w górę na krągłe, kształtne pośladki przysłonięte jedynie różowymi koronkowymi figami. - Jeśli jeszcze tego nie zauważyłaś, tkwisz właśnie w samym środku sufitu nad moim pokojem, dupeczko.

- Cooo? Dupeczko? - syknęła nieznajoma z oburzeniem. - Tak się nie mówi.

Steve parsknął śmiechem.

- Ależ owszem, jak najbardziej. Zwłaszcza gdy ma się przed sobą widok taki jak ja tu z dołu.

- Cholera - zaklęła. - Ciebie tu w ogóle nie powinno być. Zaczęła się szamotać. Bez skutku.

- O, doprawdy? Zresztą nie przypominaj mi o tym. - Wierzchem dłoni wytarł zakrwawiony nos. - Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, rzeczywiście by mnie tu nie było, a ty miałabyś jeszcze większy problem, kochanie. A teraz przestań ze mną walczyć, podnieś ręce nad głowę, a ja ściągnę cię w dół.

- W żadnym razie! - Zaczęła się znowu wić. - Popchnij mnie w górę. - Zabrzmiało to jak rozkaz, ale po krótkiej chwili, ociągając się, dodała: - No... proszę.

- Dużo prościej będzie ściągnąć cię w dół. Wiesz, jest coś takiego jak grawitacja.

- Jeśli grawitacja miałaby ściągnąć mnie w dół, już dawno by to nastąpiło.

Steve pomyślał, że logice tego wniosku nic nie można zarzucić. Ale nie zamierzał tego przyznać. Nieznajoma musiała mu przecież jakoś odpłacić za jego bolący, krwawiący nos, już na pewno spuchnięty - a może i złamany.

Chwycił ją w pasie, uginając się w kolanach. Sprężyny łóżka jęknęły niemal tak głośno jak ona.

Zaczęła znowu wierzgać tymi wspaniałymi, jedwabiście gładkimi kończynami, które Steve przyciskał nagimi ramionami do piersi. Czerpał z tego coraz więcej przyjemności. Ale nie czuł się specjalnie winny. Do licha, lubił kobiety. A już szczególnie lubił kobiety z takimi nogami jak te, które właśnie obejmował.

Spojrzał znowu w górę i dostrzegł jakiegoś stwora wypełzającego spod majteczek nieznanym. Pacnął go dłonią.

- Auuu, a to za co?

Ze zdziwieniem patrzył na swoją pustą dłoń i robala nadal siedzącego na jej pośladku.

- Chyba właśnie próbowałem rozgnieść twój tatuaż. Przepraszam, myślałem, że to pajak.

Wzdrygnęła się.

- Wypluj to słowo - wymamrotała.

- A, tu cię mam. Boisz się pajaków? - Potrafił ją zrozumieć. Sam, choć wiedział, że to zupełnie irracjonalne, panicznie bał się moli.

- Noo... tak.

- Więc będzie naprawdę dużo lepiej, jeśli cię stamtąd wyciągnę.

Rozstawił szeroko nogi, aby utrzymać równowagę na łóżku.

- No, kochanie, pomóż mi trochę - poprosił. - Ześlizgnij się w dół jak węgorz.

- Nie jestem węgorzem, nie będę się ześlizgiwać i nie jestem dla ciebie żadnym „kochaniem” ty... ty... oportunisto!

To było zdecydowanie nie w porządku.

- No, na pewno nie jesteś łososiem, który zwabił tego oportunistę do Madrona Cove - odpowiedział. - Jeśli ci się wydaje, że złapiesz mnie na niewdzięczność... - przerwał, aby wyrównać oddech.

Ona była unieruchomiona w tej dziurze. Bała się i zapewne była również zawstydzona. Do niczego nie dojdą, jeśli i on zacznie się krztusić ze złości.

Gdyby udało mu się ją nieco uspokoić i rozluźnić, może skończy się wreszcie ten koszmar. Powie komplement. Kobiety lubią komplementy.

- Jeśli twoja górna połowa jest nie gorsza niż dolna, to chyba daruję sobie ryby. Możesz się okazać najlepszą zdobyczą sezonu.

- Zapewne. I skończę wypchana nad kominkiem z tabliczką pod brzuchem.

Steve zachichotał.

- Ciekawy pomysł. W końcu niezły z ciebie okaz. Wypchana i porządnie wbita na jakiś gwóźdź tak łatwo nie zleciałabyś w dół.

Nagle słowo „wbita” skojarzyło mu się z czymś innym. A ona jakby to wyczuła. Znowu zaczęła wierzgać, próbując się uwolnić. Klęła jak szewc.

Steve był już zmęczony kłótnią. Trudno mu było utrzymać równowagę na zapadającym się, miękkim materacu. Szarpnął więc jeszcze raz za jej nogi i poczuł, że zsunęła się o kolejne kilka centymetrów niżej.

- Przestań ciągnąć mnie w dół. Zmień lepiej kierunek działania, chłoptysiu. Górna połowa, która cię tak bardzo interesuje, jest porządnie zaklinowana. Uważaj, bo oderwiesz te jej części, które, jak przypuszczam, uznałbyś za najbardziej godne uwagi.

A niech to!

- No dobrze, niech będzie - wydusił z siebie Steve. - Więc do góry. Tylko nie zapomnij, dupeczko, że należą mi się jakieś wyjaśnienia. - Ledwie powstrzymał się od poklepania jej jeszcze raz po pośladkach.

Ugiął nogi w kolanach, postawił jej stopy na swoich ramionach. Z jedną ręką na tatuażu, a drugą opartą dla równowagi na rozsypującej się części sufitu, uniósł ją w górę.

Uwolniony nagle od ciężaru, zachwiał się na miękkim materacu, stracił równowagę i spadł z łóżka. Wylądował na podłodze, uderzając plecami w dębową komodę, a głową waląc tak silnie w uchwyt od szu-

flady, że zobaczył gwiazdy przed oczyma. Leżał na ziemi, próbując dojść do siebie, kiedy nagle zobaczył, jak na samym środku jego łóżka łąduje ciężki kufer. Otworzył się z trzaskiem. Ze środka wysypały się jakieś pożółkłe papiery i stare ubrania śmierdzące naftaliną...

Steve powoli dźwignął się na nogi. Ostrożnie podszedł do łóżka. Upewnił się najpierw, czy nic więcej nie spadnie mu na głowę, po czym krzyknął:

- Hej, jesteś tam na górze?

Odpowiedziała mu głucha cisza. Nawet wiatr i deszcz ustały.

- Gdzie... pani zniknęła?

Wciąż nic. Absolutna cisza. Ani śladu ruchu, żadnej twarzy w wyrwie w suficie.

Co, do diabła! Gdyby nie jego pulsujący z bólu nos, mógłby pomyśleć, że nic się tu nie wydarzyło. Nie spuszczać wzroku z dziury, wycofał się do przylegającej do pokoju łazienki. Mokrym ręcznikiem startł krew z twarzy i czoła.

Zanim zadzwonił na dół do recepcji, wciągnął na siebie dzinsy i przeczesał palcami włosy, próbując pozbyć się co większych kawałków tynku. Obawiał się, że tak późno nikogo może nie być w pracy.

Nie mógł zrozumieć, co Jake widział w tym miejscu. Musiało najwyraźniej mocno podupać od czasu, kiedy piętnaście lat temu jego kumpel był tutaj. Teraz powinni raczej dopłacać za pobyt w tym zajeździe. Od przyjazdu Steve'a w środę pogoda była okropna, a teraz jeszcze budynek dosłownie walił mu się na głowę. Własnoręczne wyciągnięcie z wody kilku ryb chyba nie było tego warte.

Wściekła i przestraszona Lissa zbiegła szybko na dół, przebiegła przez mały magazynek usytuowany na tyłach biura i wpadła do recepcji.

- A niech to, Roso! - krzyknęła. - Miałś go przecież zagadać i przytrzymać! Opowiedzieć mu o prababce, poczęstować ciasteczkami cynamonowym albo czymkolwiek! Nie pozwolić mu pójść do pokoju!

- Jezu! - Rosa złapała się za głowę. - Co się stało? Lissa strzepnęła z bluzki okruchy tynku i wyciągnęła zza pasa wymiętoszoną spódnicę.

- Jackson jest u siebie w pokoju! Spotkałam się oko w oko z ogromnym pajakiem i prawie umarłam ze strachu. Jakby tego było mało, załamał się ten cholerny sufit i wleciałam do pokoju Jacksona! Gdzieś tam spadł mi jeden z twoich sandałów.

- Do pioruna, mam je od sześćdziesiątego ósmego roku - jęknęła Rosa. - Jak mogłaś zgubić jeden z nich?

- Jak mogłaś pozwolić Jacksonowi przemknąć niepostrzeżenie?

- Nie pozwoliłam! Przysięgam, że nie ruszyłam się stąd ani na krok. Gdyby wchodził, nie mogłabym go nie zauważyć.

- To kto w takim razie siedzi w jego pokoju?

Rosa patrzyła na Lissę z niedowierzaniem. Przygryzła dolną wargę i zmarszczyła brwi.

- Musiał wrócić przed nami. Gertie nic nie powiedziała. Gertie pracowała w recepcji na popołudniowej zmianie. Nie była zbyt uważna, a przy tym raczej małomówna.

- A zapytaliście ją?

- No, nie. Ale twój ojciec przyszedł zaraz po telefonie Reggie'ego, a ja dotarłam tu chwilę po nim. Kiedy wychodziliśmy z baru, Ginny śpiewała dla Jacksona. Nie wierzę, że wyszedł w trakcie występu.

Lissa też nie wierzyła. Przyjaźniła się z Ginny od dzieciństwa, więc znała ją dobrze. Ginny działała na mężczyzn niemal magicznie i lubiła

ćwiczyć swoje umiejętności w tym zakresie. Lissa już dawno przestała próbować dotrzymać jej kroku.

- Musiał wyjść - powiedziała w końcu. - Albo w pokoju jest ktoś inny.

O Boże, a jeśli Jackson słyszał, jak ojciec tłukł się na górze? Jeśli tak, to ciekawe, czy pomyślał, że to duch?

- Jak myślisz, kto to dzwoni? - zapytała Rosa, wskazując na terkoczący telefon. Podwójny sygnał zwiastował połączenie z którymś z hotelowych pokoi.

Lissa westchnęła, uspokoiła oddech i podniosła słuchawkę.

- Recepcja - powiedziała gładko. - W czym mogę pomóc?

- Przez sufit wpadły do mojego pokoju kobieta i skrzynia. Lissa nie mogła nie rozpoznać zdenerwowanego, męskiego głosu.

Skrzynia? Boże, czyżby zepchnęła ją, gramoląc się na górę i łapiąc w pośpiechu wszystkie rzeczy?

- Naprawdę? - udała zdziwienie. Zachowuj się, jakbyś mu nie wierzyła, powtarzała sobie. - Przez sufit wpadły do pana pokoju kobieta i świnia. To dwie oddzielne istoty czy jedna?

- Nie świnia, tylko skrzynia! „Es”, „ka”. „er”, „zet”...

- Aha - przerwała mu. - Rozumiem, skrzynia, nie świnia. I kobieta. I one... hm... wpadły przez sufit?

- No tak, do licha. Jeśli mi pani nie wierzy, proszę przyjść do mojego pokoju. Na łóżku pełno jest krwi, tynku i jakichś starych ubrań.

Chciałbym, żeby ktoś się tym zajął. I to natychmiast.

Krew? Czyżby spadając, pokaleczyła sobie nogi? Nic nie zauważyła. Draśnięta była tylko jej godność własna.

- Oczywiście, proszę pana. Który numer pokoju pan podał? Och, Lisso, niezła jesteś, pomyślała.

- Niczego nie podawałem - wycedził zimno jej rozmówca. - Na drzwiach nie ma numeru. Pokój na najwyższym piętrze.

- A, tak... - Zamilkła na chwilę, jakby sprawdzała nazwisko na liście.
- Pan... Jackson? Zaraz będę na górze, proszę pana - dodała najbardziej uspokajającym tonem, na jaki potrafiła się zdobyć.

Po drugiej stronie słuchawka z trzaskiem opadła na widełki. Steve Jackson zdecydowanie nie był zachwycony zajazdem „Madrona”. I bardzo dobrze, bo przecież o to im właśnie chodziło.

Lissa mrugnęła do Rosy, ta uśmiechnęła się z aprobatą. Chyba przeszła jej już złość o sandały. Lissa odetchnęła z ulgą. W końcu Rosa była prawie jej macochą. Trwający od lat romans szefowej kuchni i ojca Lissy był tajemnicą poliszynela.

- Będzie miał nauczkę - zaśmiała się Lissa.

Zrzuciła drugi sandał i włożyła swoje buty. W nich nigdy nie udało się jej przejść bezpiecznie po legarach na strychu. Uniosła spódnicę i uważnie obejrzała nogi, szukając zadrapań. Nic nie znalazła. Może Jackson specjalnie przesadził, by wywołać lepszy efekt.

- Dobra, idę do niego. Recepcjonistka, pokojówka i etatowy przepraszacz za wszystkie niedogodności zajazdu. Może arcydzieło Reggie'ego nie będzie wcale potrzebne.

W połowie obuta Rosa zniknęła za bocznymi drzwiami.

Lissa skontrolowała swój wygląd w lusterku, szukając czegoś, co mogłoby ją zdradzić. Jeszcze raz otrzepała dokładnie zieloną, jedwabną bluzkę z okruszków tynku, po czym zdjęła ją z siebie, zadowolona, że ma

pod spodem koszulkę. Przybrała przepraszającą minę i ruszyła głównymi schodami na trzecie piętro.

ROZDZIAŁ DRUGI

O rany! Opis Ginny wcale nie przygotował jej na spotkanie oko w oko ze Steve'em Jacksonem. Zresztą wyglądał tak wspaniale, że było to nie do opisania.

Miał chyba z metr dziewięćdziesiąt wzrostu, nagi tors z małą kępką złocistych włosów w dole brzucha, ubrany był w spłowiałe dzinsy ściągnięte paskiem na wąskich biodrach... Lissę zamurowało. Szerokie ramiona mężczyzny wypełniały niemal szczelnie otwór drzwiowy. Kręcone ciemnoblond włosy aż prosiły się o kobiecą rękę, która odgarnęłaby je do tyłu.

Lissa próbowała wyglądać jak osoba spokojna i pewna siebie. Steve najpierw spojrzał na nią zimno i bez zainteresowania, ale wzrok szybko mu złagodniał. Wyraźnie mu się spodobała. Dwukrotnie otaksował ją od stóp do głów, zaczynając od góry, zatrzymując się na wysokości biustu, potem bioder i nóg. Te ostatnie były na szczęście ukryte pod długą spódnicą. Lissa czuła, jak jego wzrok przewierca ją na wylot. Złapała oddech i w końcu się odezwała.

- Pan Jackson? - upewniła się, wyciągając do niego rękę. - Lissa Wilkins, kierowniczka nocnej zmiany.

Pomyślała, że nie zaszkodzi odrobinę nagiąć prawdę. W końcu rzeczywiście to ona odpowiada za sprawne funkcjonowanie zajazdu tej nocy.

Steve zamknął jej dłoń w długim, silnym uścisku. Na pewno nie był to człowiek, który stronił od ciężkiej pracy. Czy to możliwe w przypadku najstarszego syna hotelowego magnata? Lissę z przemożną siłą opanowało pragnienie, by Steve Jackson nie był tym, za kogo go brali.

Ale to przecież niemożliwe. Takie rzeczy się nie zdarzają.

- Witam - powiedział głębokim, chrapliwym tonem, na dźwięk którego przeszył ją dreszcz. Delikatnie oswobodziła dłoń. Stali w pewnej odległości od siebie, a mimo to czuła wyraźnie ostrą woń płynu po goleniu i słodkawy zapach piwa. Wszystko razem - jego hipnotyczne, błękitne oczy, wysmukłe, silne ciało, seksowny głos, a także wrażenia, jakie wywołał dotyk jego dłoni - sprawiło, że czuła się wytracona z równowagi.

Steve cofnął się do środka. Lissa postąpiła za nim, jakby byli połączeni jakąś niewidzialną nicią. Siłą woli oderwała od niego spojrzenie i rozejrzała się po pokoju. Panował w nim straszliwy bałagan.

Na łóżku rzeczywiście leżała ta nieszczęsna skrzynia, dokumentnie wybebeszona. Pościel była mocno poplamiona krwią. Nigdzie natomiast Lissa nie dostrzegła sandała Rosy. Odetchnęła z ulgą, bo to świadczyło o tym, że najprawdopodobniej zgubiła go gdzieś na strychu. A więc Steve Jackson nie miał żadnego dowodu na obecność dolnej połowy jakiejś kobiety w jego pokoju.

- O, do licha! - powiedziała, wpatrując się w dziurę w suficie. - Nieźle to wygląda. Czy ta skrzynia spadła na pana? Uderzyła pana w głowę? Musiał pan stracić sporo krwi. Niech pan lepiej usiądzie.

Szczerze zaniepokojona, chciała posadzić go na jednym z krzeseł. Efekt był taki, jakby próbowała ruszyć z miejsca trzystuletni dąb. Poddała się więc i pytała dalej:

- Czy potrzebuje pan pomocy? W Madrona Cove nie ma lekarza, ale znajdę kogoś, kto mógłby pana zawieźć do miasta i...

- Nie. Nie potrzebuję lekarza. Nie chcę usiąść. Nie jestem ranny w głowę. Krew poleciała mi z nosa, kiedy ta szurnięta kobieta mnie kopnęła.

- Kobieta? - Lissa miała nadzieję, że jej oczy zrobiły się w tym momencie duże i okrągłe ze zdziwienia. - A, rzeczywiście, wspominał pan. To gdzie... gdzie ona jest?

Spojrzał znacząco w górę. Widziała, że przełknął ślinę, zanim jej odpowiedział.

- Nie mam pojęcia. - Zmarszczył brwi. - Nie mogłem ściągnąć jej w dół, więc ją podsadziłem. Na jej prośbę zresztą, chociaż „prośba” to chyba nie jest najodpowiedniejsze słowo. Zepchnęła na mnie kufer i zniknęła.

- Aha - przytaknęła Lissa z uśmiechem. - Kobieta, która zniknęła, zepchnęła na pana kufer. Jest pan absolutnie pewny, że nie spadł panu na głowę?

- Do diabła, jestem! Niech pani sobie nie wyobraża, że ja tę kobietę wymyśliłem. Mogę podać szczegóły. Brzydkie, brązowe skórzane sandały, długie nogi i tatuaż z jakimś robalem na pośladku. To niewielkie miasteczko. Chyba nie ma tu zbyt wiele kobiet odpowiadających temu opisowi?

Lissa miała nadzieję, że nie dała nic po sobie poznać, i odpowiedziała spokojnym głosem:

- Niekoniecznie, proszę pana. Pan był chyba dziś wieczorem w „Chuckles”?

- Nie jestem pijany - odpowiedział, posyłając jej piorunujące spojrzenie.

- Oczywiście, że nie, proszę pana. Nie to miałam na myśli. Założyłam kciuki za pasek i zmrużyłam oczy.

- Oczywiście, że pani miała.

- Po prostu... - Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się usprawiedliwiająco. - No, wie pan, czasami ludzie na wakacjach zachowują się trochę bardziej swobodnie niż zwykle, zaczynają traktować miejscowe legendy zbyt poważnie i...

- Legendy? - prychnął szyderczo. - Aaa, chodzi pani o ducha.

Czuła się idiotycznie, ale wiedziała, że cel uświęca środki.

- Nie traktowałabym tej historii z takim pobłażaniem. Duch mojej prababki tu wraca i męczy niektórych śmiechem albo płaczem.

- Naprawdę? Jakaż jest przyczyna jej rozpacz?

- Na dziesiątą rocznicę ślubu dostała od mojego pradziadka kolczyki z perłami. Krótco po jego śmierci zgubiła jeden z nich. Spędziła długą, deszczową grudniową noc na zewnątrz, szukając zguby z latarnią w ręce. Dostała zapalenia płuc. Położono ją w jednym z pokoiów na najwyższym piętrze. Oszalała prababka nadal snuła się po pokojach, szukając kolczyka. W końcu umarła i osierociła swe jedyne dziecko - mojego dziadka. Niektórzy mówią, że wciąż szuka kolczyka.

Lissa potarła ramiona, jakby zrobiło się jej nagle zimno, i spojrzała za siebie.

- Zwykle latem mieszkałam właśnie w tym pokoju. Może mi pan wierzyć lub nie, ale dzieją się tu dziwne rzeczy.

Steve zagryzł dolną wargę. Był trochę zaniepokojony. Lissa zdusiła w sobie śmiech.

- Jest pani właścicielką zajazdu? - zapytał po chwili.
- Był długo w posiadaniu mojej rodziny - odpowiedziała.
- Mój ojciec ma kilka hoteli. O ile wiem, w żadnym z nich nie straszy.

Aha! Przynajmniej nie było już wątpliwości co do osoby jego ojca. Ciekawe, czy on zdawał sobie sprawę, że wszyscy w Madrona Cove wiedzą, po co tu przyjechał.

- Nie mogę z całą odpowiedzialnością twierdzić, że zajazd jest nawiedzony - powiedziała. - Mój ojciec uważa, że te dziwne dźwięki powoduje po prostu wiatr i gałęzie drzewa mącznika, od którego zajazd bierze swoją nazwę.

- Tak?

- „Madrona” to hiszpańska nazwa mącznika. Nasz jest okazem rosnącym najbardziej na północ. I sądząc z rozmiaru, jednym z najstarszych na wybrzeżu. Zapewne go pan widział: wielkie, sękatę, powykęcane drzewo z czerwoną korą pod oknem jadalni? Jego konary sięgają najwyższego piętra. Kiedy wieje wiatr, robią niesamowity hałas, tłukąc o okna. Prawdopodobnie to właśnie słyszał pan dziś w nocy.

Miała nadzieję, że w jej głosie wyraźnie pobrzmiewały wątpliwości.

- Wie pan - dodała z uśmiechem - jeśli wypił pan dziś troszkę więcej niż zwykle i zadziałała wyobraźnia...

- Nic nie mówiłem o duchu - przerwał jej stanowczo, wskazując na łóżko. - Skrzynia i dziura w suficie to nie żadne przywidzenia. Do tego cały ten śmietnik...

- No tak, ma pan rację. Skrzynia niewątpliwie nie jest zwidem.

- Tak samo jak mój obolały nos - powiedział, pocierając delikatnie jego nasadę. - Noga, która wymierzyła mi tego kopniaka, na pewno nie należała do ducha.

Lissie przyszło do głowy, że chętnie by ten nos pocałowała. Szybko jednak przywołała się do porządku.

- Te piekielne termity - powiedziała z troską w głosie - musiały zniszczyć następną belkę. Mam nadzieję, że uda nam się jakoś panu wynagrodzić te... niedogodności.

Patrzył na nią z powątpiewaniem. Uniósł brwi i czekał, co powie dalej.

- Zaraz przeniosę pana do innego pokoju. Reszta pana pobytu w zajezdzie na koszt firmy. - Po chwili dodała, olśniona pomysłem, który właśnie przyszedł jej do głowy: - Jeśli pan sobie życzy, jutro poszukam dla pana pokoju w jakimś innym hotelu.

Oczywiście! Że też jej to wcześniej nie przyszło do głowy. Ojciec i członkowie komitetu będą z niej dumni. Wypadek na strychu może się okazać ich największą wygraną. Steve Jackson w innym hotelu jest o niebo lepszy od Steve'a Jacksona na miejscu.

- Jedyne, czego chcę w tej chwili - przerwał jej myśli Steve - to inny pokój. Najchętniej z twardym materacem i lepszym sufitem. Jutro zdecyduję, czy chcę tu zostać, czy nie. Zapłaciłem za trzy tygodnie z góry.

- Rozumiem - powiedziała spokojnie. - Oczywiście pieniądze zostaną panu zwrócone. Wyrównamy też ewentualną różnicę w standardzie między naszym zajazdem i miejscem, do którego zechce się pan przenieść.

Zrobiłaby to, nawet gdyby musiała wyłożyć pieniądze z własnej kieszeni.

- Jeśli zechcę się przenieść - powiedział z naciskiem, przyglądając się jej uważnie.

Jeśli? Ugryzła się w język, żeby nie krzyknąć, i przytaknęła potulnie. Taki genialny pomysł na nic. Najwyraźniej nie zamierzał iść za jej radą.

- Oczywiście. A teraz, panie Jackson, może byłby pan łaskaw spakować swoje rzeczy, podczas gdy ja zejdem na dół po klucz do pana nowego pokoju. Aha, może pan zostawić kosmetyki i ręczniki w łazience. Będzie pan zajmował sąsiedni pokój. Przepraszam na chwilę.

Lissa wyszła zdecydowany krokiem, zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie, próbując się pozbierać.

Dlaczego się wahał z tym przeniesieniem? Co go tu zatrzymywało?? Teraz, kiedy pojawiła się realna szansa na pozbycie się Stevena Jacksona z zajazdu, Lissa przestała brać pod uwagę inną ewentualność.

Wyprostowała się i zdecydowanym krokiem ruszyła na dół. Złożyła mu ofertę. Jeśli z niej nie skorzysta, jeśli jutro rano nie przeniesie się do innego hotelu, już ona umili mu te jego tak zwane wakacje. Będzie błagał niebiosa o zlitowanie. Ale sam jest sobie winien.

Lissa Wilkins opuściła jego pokój, ale Steve wciąż miał ją przed oczami. Jasnobrzęde oczy i piękny uśmiech zrobiły na nim ogromne wrażenie. Była wysoka, szczupła, zmysłowa. Choć było to zupełnie irracjonalne, wierzył, że to właśnie ona spadła ze strychu.

Zmarszczył czoło. Jeśli to rzeczywiście była ona, udało się jej błyskawicznie pozbierać. Pojawiła się w jego pokoju kilka minut po wypadku w nieskazitelnym stroju, nienagannie uczesana, spokojna. Nie mrugnęła nawet okiem, kiedy wspomniał o tatuażu. A jednak dostrzegł na jej twarzy ślad emocji, kiedy powiedział, jeśli się przeniosę". Jakby zależało jej na tym, żeby wyjechał. Ale czemu?

Zamyślił się jeszcze bardziej, przepakowując rzeczy z szafy do walizki i sportowej torby. Jedna z szuflad zablokowała się. Pchnął ją silnie, po czym gładko otworzył, ale zanim zdążył cokolwiek z niej wyjąć, bezszelestnie wsunęła się z powrotem. Po chwili namysłu wyciągnął ją znowu. Tym razem nie zamknęła się sama. Szybko ją opróżnił i wyciągnął rękę w stronę kolejnej szuflady. Otworzyła się, zanim zdążył jej dotknąć.

Zastygł bez ruchu. To miejsce było niesamowite.

Budynek był stary. Prawdopodobnie podłoga pracowała, kiedy się przemieszczał, i dlatego szuflady same się otwierały. Jednak poczuł, jak przeszywa go nieprzyjemny dreszczyk. Przyspieszył pakowanie, by jak najszybciej opuścić pokój.

Przesunął na bok kufer, by wydobyć spod niego koszulkę i odkrył sandał wetknięty między warstwy pościeli. Położył go na dłoni i zaśmiał się pod nosem.

But był stary, mocno zużyty, z wyraźnie odcisniętymi w podeszwie śladami pięty i palców. Duchy nie nosiły sandałów. Oto miał w ręce niepodważalny dowód na realne istnienie tajemniczej kobiety.

Nie był to jednak dowód na to, że tą kobietą jest - lub nie jest - Lissa Wilkins.

Musiał rozwiązać tę zagadkę. Z czyjej nogi spadł ten sandał? Co ten ktoś robił na strychu dokładnie nad jego pokojem?

Poza tym chciał mieć jak najwięcej okazji do poznania Lissy. Podobała mu się. Znowu stanęła mu przed oczami. Wciąż o niej myślał, kiedy wróciła z kluczami.

Nowy pokój był większy od poprzedniego. Stało w nim piękne, zabytkowe łóżko z baldachimem. Potrafił to ocenić, sporo się bowiem nauczył od matki.

- Ach! - powiedział, siadając na brzegu i po chwili rzucając się na plecy. Rany! Łóżko było stare, ale materac - bynajmniej. Posłał Lissie Wilkins promienny uśmiech. Stała zarumieniona z rękami splecionymi z tyłu i obserwowała go uważnie.

- Szkoda, że od razu nie daliście mi państwo tego pokoju. Nie musiałbym rozwiązywać zagadki.

- Tak? - Lissa miała nadzieję, że w jej głosie zabrzmiała obojętność i zawodowy dystans. Doskonale wiedziała, o jakiej tajemnicy mówił, nie zamierzała jednak zachęcać go do jej rozwikłania. Pragnęła wytrącić go z równowagi, zamieszać mu w głowie, sprawić, by widział w zajeździe same negatywne strony. Żeby się wyniósł stąd jak najszybciej.

- Kto wie, co się czai w ciemnych zakamarkach strychu „Madrony”?
- powiedział. - Kto wie, jakie istoty tam mieszkają? Czy i kiedy kokony pękną i wypełzną z nich stada tajemniczych obcych, którzy zaatakują mieszkańców zajazdu z góry?

Może będą schodzić coraz niżej z piętra na piętro, rosnąc w siłę z każdym spożytym człowiekiem? Albo... Lissa zaśmiała się.

- No, teraz już jestem pewna, że oberwał pan kufrem po głowie! Czy mogę coś jeszcze dla pana zrobić, panie Jackson?

Leżał w poprzek łóżka z głową opartą o poduszkę.

- Czy ja wiem? - Poklepał materac zapraszającym gestem - A jak pani uważa?

Lissa wpatrywała się w wolne miejsce na łóżku obok Jacksona. Doskonale by się zmieściła. Musiałby tylko opleść ją ramieniem, przytulić do siebie i... Zdusiła westchnienie.

- Co uważam? - powtórzyła bezmyślnie.

- No, co jeszcze mogłaby pani dla mnie zrobić.

Nigdy dotąd jej się coś takiego nie zdarzyło. Ani kiedy miała kilkanaście lat i pracowała jako pokojówka, ani w ciągu ostatnich dwóch lat. Zdała sobie nagle sprawę, że nie wie, jak należy zachowywać się w stosunku do mężczyzn takich jak Steve Jackson. Szczególnie leżących na łóżku z prowokującym uśmiechem na twarzy i pewną miną zdobywcy.

- Nie mam pojęcia, proszę pana - odparła i odwróciła się w stronę wyjścia.

- Szklaneczka czegoś mocniejszego do poduszki? - podpowiedział, siadając.

- Przykro mi - odpowiedziała z ręką na klamce. - Bar jest już zamknięty.

- Szkoda.

Wstał, podszedł do niej i chwycił ją za łokieć.

- To może jeszcze jedna historyjka na dobranoc?

- Słucham? - zapytała ze śmiechem.

- Ta o duchu nie ukołysała mnie do snu. Proszę spróbować jeszcze raz.

Lissa zaprzeczyła ruchem głowy.

- To nie żadne bajki, panie Jackson.

Jego ręka zsunęła się z łokcia na nadgarstek i szybko jeszcze niżej. Zdziwiona Lissa spostrzegła, że ich palce są splecione.

- To ja ci opowiem jedną bajkę - powiedział cicho. - Albo może odegramy ją razem, dzieląc role?

Delikatnym ruchem odwrócił Lissę w swoją stronę. Nie zauważyła, jak to się stało, ale po chwili siedziała na krzeselku. Steve Jackson, wciąż trzymając ją za rękę, ukucnął przed nią. Wolną ręką przyciągnął do siebie swoją sportową torbę, sięgnął do środka i wyciągnął stamtąd sandał Rosy.

Lissa próbowała zachować kamienną twarz. Liczyła na to, że buciór spoczywa sobie bezpiecznie w jakimś zakurzonej, ciemnym kącie strychu, a tu proszę!

Steve chwycił ją za kostkę i spróbował unieść stopę wyżej. Lissa nie wiedziała, co powinna zrobić.

- Co pan wyprawia? - zapytała, przyciskając stopę do podłogi.

Uśmiechnął się z ironią.

- Mam tutaj taki szklany pantofelek - no, niech będzie, skórzany sandał - i za jego pomocą chciałbym znaleźć tajemniczą księżniczkę, z której stopy spadł.

Lissa zagryzła wargę.

- To co robimy? - zapytał. - Na zwyciężczynię czeka nagroda.

- Doprawdy?

- Nie lubisz nagród?

- Zależy co to za nagrody.

- Jeśli chcesz się dowiedzieć, musisz przymierzyć sandał.

- Spróbuję zgadnąć bez mierzenia - powiedziała szybko. - Czy nagroda nie ma przypadkiem metr dziewięćdziesiąt wzrostu i niebieskich oczu?

Steve wypiął pierś i zamrugnął powiekami.

- Jejku, jejku! Ta pani myśli, że to ja jestem nagrodą!

- Bliżej panu do błazna niż do czarującego księcia.

- Och, proszę mnie nie dobijać!

- Jeśli tylko pomoże mi to odzyskać władzę nad własną stopą, nie zawaham się. Historia Kopciuszka nigdy do mnie specjalnie nie przemawiała.

Palce Steve'a wciąż oplatały jej kostkę.

- Nie? A jakie bajki lubisz, Lisso?
- Czytałeś *Papierową księżniczkę* Roberta Munscha?
- Nie. Chyba nie.
- Polecam, jeśli wpadnie ci w ręce.
- Opowiedz mi treść.

Dłoń Steve'a zsunęła się niżej, palce musnęły wierzch stopy i zatrzymały się na bucie.

- Nie ma mowy. Jeśli potrzebna ci opowieść na dobranoc, to idź do mamusi.

- Zero instynktu macierzyńskiego, co?
- Ani śladu - odpowiedziała, unosząc się z krzesła.
- Może jeszcze nie miał okazji się ujawnić.

Ku jej totalnemu zaskoczeniu Steve wziął ją w tym momencie w ramiona i przytulił mocno. Odruchowo zarzuciła mu ręce na szyję.

- Wychodzi na to, że na dobranoc musi mi wystarczyć pocałunek.

Mogła temu zapobiec. Była pewna, że zdołałaby uciec. Nie wiedziała tylko, czy nogi by ją utrzymały.

Steve lewą ręką obejmował ją w pasie, podczas gdy prawa błędziła po jej szyi i warkoczu. Przyciągnął ją tak blisko do siebie, że musiała spojrzeć mu prosto w oczy. To, co tam zobaczyła, zdenerwowało ją, przestraszyło, ale także podekscytowało.

Kiedy w końcu musnął ustami jej wargi, przeszedł ją dreszcz i odskoczyła gwałtownie od niego.

- Nie!

Patrzył na nią z lekkim uśmiechem.

- Oj, jak to jest, kochanie, że w życiu to zawsze wygląda zupełnie inaczej niż w książkach.

- Może dlatego, że czytasz nieodpowiednie książki. Wychodząc, trzasnęła drzwiami. Niech go lichy weźmie!

Sztukę uwodzenia kobiet miał opanowaną w stopniu doskonałym, podobnie jak większość gości zajazdu łowienie ryb. W dodatku, i to było najgorsze, schodząc w dół uświadomiła sobie, że flirtował z nią tylko po to, by zobaczyć ją od tyłu i sprawdzić, czy nie ma przypadkiem tatuażu na pośladku.

No, to niech mu się nie wydaje, że osiągnie swój cel. Nikomu, absolutnie nikomu nie pokazywała swojego robala. Już nie.

Po pierwsze, to właśnie przez takiego niebieskookiego, szerokiego w barach mężczyznę jak Steve Jackson była posiadaczką tego charakterystycznego znaku szczególnego. Minęło już ponad dziesięć lat od czasu, kiedy jej odbiło i za namową Joego oraz pod wpływem zbyt wielu drinków dała sobie zrobić ten tatuaż. Zabieg był bolesny, ale Joe zranił ją później jeszcze bardziej.

Mogłaby wyciągnąć jakieś wnioski z historii z Joem, ale nie, nie ona. Potem był Casey, Tony... W końcu zrozumiała, że inteligentna kobieta powinna trzymać się z daleka od przystojnych facetów. Stado wilków było mniej niebezpieczne niż każdy z nich z osobna. Postanowiła wiązać się jedynie z łysiejącymi, brzuchatymi facetami po czterdziestce, którzy byli wdzięczni już za sam fakt zwrócenia na nich uwagi. Może nie dostarczali specjalnie ekscytujących wrażeń, ale człowiek czuł się przy nich bezpiecznie.

Zresztą, ona swoje zadanie wykonała. Może nie z pełnym sukcesem, ale jednak. Według planu to Ginny miała bliżej zająć się Steve'em Jacksonem.

Nie istniał na ziemi mężczyzna, który potrafiłby się oprzeć urokom Ginny McKay. Była rozwódką. Jej małżeństwo okazało się totalną katastrofą. Przyrzekła sobie nie próbować więcej. Ale to nie znaczyło, że zrezygnowała z mężczyzn. Przeciwnie - bawiła się nimi, lubiła przebywać w ich towarzystwie, wzbraniała się jednak przed poważniejszymi związkami. Lissa nie знаła szczęśliwszej, silniejszej kobiety niż Ginny. Steve Jackson był bez szans.

Kiedy w końcu pogoda się poprawi, całe dni będzie spędzał na rybach, a wieczory z Ginny w barze. Wyczerpany takimi zajęciami będzie spał jak zabity. Z wyjątkiem pierwszej trzydziści i trzeciej trzydziści...

W tym momencie przypomniła sobie, że ktoś musi przesunąć sprzęt na strychu tak, żeby znajdował się dokładnie nad jego nowym pokojem. Na pewno nie ona. Jeden raz w zupełności jej wystarczy. Są jeszcze inni członkowie komitetu, którzy mogą to zrobić. Na przykład Larry, właściciel sklepu z narzędziami. Bo w końcu kto powiedział, że tylko pracownicy zajazdu mogą zamontować taśmy z jękami prababki! Larry znał zajazd jak własną kieszeń: w dzieciństwie często się razem bawili w chowanego.

A jeśli on odmówi, to pozostaje jeszcze Merv, kierownik przystani. Jemu powinno zależeć na powodzeniu akcji nie mniej niż innym. Nowy właściciel zajazdu może go zaraz zwolnić. Niełatwo byłoby mu znaleźć nową posadę, zwłaszcza że zbliżał się do pięćdziesiątki.

Przedstawi problem komitetowi na ich niedzielnym zebraniu. Wspólnie powinni kogoś wyznaczyć. A Steve Jackson, nawet jeśli jeszcze wątpi w istnienie duchów, wkrótce się przekona...

Steve siedział na stołku przy barze w „Chuckles” i słuchał popisów miejscowego zespołu. Pianista traktował instrument jak kochankę - prawie

leżał na klawiaturze. Skrzypaczka też nie była zła, a wysoki, prawie łysy facet z resztką włosów ściągniętych w ogonek potrafił wydobyć z saksofonu więcej niż wszyscy saksofoniści, jakich Steve dotąd słyszał, razem wzięci. Ginny śpiewała przy ich akompaniamencie. Tak samo jak poprzedniego wieczora miał wrażenie, że słowa piosenki kieruje bezpośrednio do niego.

Siedzący obok Larry Cranshaw też to zauważył.

- Niezła, co? - powiedział, szturchając Steve'a.

- Aha - mruknął Steve.

Kilka dni temu poznał Larry'ego przy stole bilardowym. Od tego czasu wciąż na siebie wpadali. Larry był Indianinem. Podawał się za potomka wielkiego wodza Maquinny. Wyraziste rysy twarzy wyraźnie wskazywały, że jego przodkowie należeli do któregoś z plemion Nutka. Larry przez całe swoje życie mieszkał w Madrona Cove i znał tu wszystkich.

- Chyba ma na ciebie chrapkę - powiedział do Steve'a. - Nazywa się Ginny McKay, rozwódka, samotna. Przedstawić cię?

- Nie - zaprzeczył ruchem głowy. - Już się poznaliśmy. Mieszkam w zajeździe.

Rudowłosa, niewysoka Ginny pracowała też jako kelnerka w „Madronie”.

- I co? - zaciekawiał się Larry. - Nie podoba ci się?

- Jest w porządku.

- Rany, większość facetów uważa, że Ginny jest więcej niż w porządku. Nie daje się usidlić. Miła, lubi ludzi i tak dalej, ale nie do schwytania. Chłopaki robią zakłady, kiedy w końcu się złamie. Powiadają, że taki, na którego polecą, trafia się raz na milion.

- Naprawdę?

Steve miał wrażenie, że Larry chce go sprowokować, by podjął wyzwanie.

- Gdybym nie był żonaty, sam stanąłbym do zawodów. - Zamilkł na moment, po czym zapytał: - A ty jesteś żonaty?

Steve zaprzeczył w milczeniu. Larry uniósł brew.

- No to o co chodzi? Czemu nie zaprosisz jej na drinka w czasie przerwy?

- Nie jest w moim typie - odparł Steve.

- Naprawdę? - zainteresował się Larry. - A kto jest? Steve wzruszył ramionami.

- Lubię kobiety z długimi nogami. - Wskazał na parkiet pełen wirujących par. - Takie jak ta.

Nogi długowłosej blondynki w króciutkiej spódniczce z tej odległości wydawały się podobne do tych, których szukał. Nie miał jednak pewności.

Larry zaśmiał się głośno.

- Nie radziłbym. Jej facet to najgorszy oprych w mieście.

- Doprawdy? - zapytał z powątpiewaniem Steve. Partner blondynki nie wyglądał specjalnie groźnie.

- O, przyszła inna z długimi nogami - powiedział Larry, po raz kolejny szturchając Steve'a w bok. - Co myślisz o tej?

Steve podążył wzrokiem w kierunku wskazanym przez Larry'ego i przy jednym ze stolików zobaczył Lisę. Zanim zdążył ześlizgnąć się ze stołka i ruszyć w jej stronę, jakiś podstarzały mężczyzna objął ją w pasie i posadził sobie na kolanach. Zarzuciła mu rękę na szyję, pocałowała w

policzek. Wyglądała tak, jakby była to dla niej sytuacja najnormalniejsza na świecie.

- No, rzeczywiście - powiedział do Larry'ego wyraźnie poirytowany.

Zanim Larry zdążył zareagować, podeszła do niego jakaś kobieta i wzięła go pod rękę.

- Będiesz tak siedział przez cały wieczór, czy idziemy tańczyć?

- Chyba idziemy - odpowiedział Larry, uśmiechając się od ucha do ucha, po czym rzucił w stronę Steve'a coś na kształt wyjaśnienia: - To moja przyrodnia siostra.

Steve popatrzył w stronę Lissy. Siedziała przy stoliku wspólnie ze swoim towarzyszem i jadła ogromną porcję ryby z frytkami. Zapatrzył się w nią, kiedy uniosła z talerza plasterki cytryny i ssała go długo i delikatnie.

Siłą woli odwrócił wzrok i spojrzał na scenę. Ginny McKay uśmiechnęła się do niego uwodzicielsko. Nie chciał jej zachęcać, więc przesiadł się w inne miejsce, z którego zresztą nie widział też Lissy mizdrzącej się do starszawego jegomościa.

Długonoga blondynka znalazła się właśnie w pobliżu jego stolika. Zauważyła, że się jej przygląda. Zrobiła obrót w ramionach partnera. Spódniczka uniosła się do góry, ukazując całe uda. Nie dość jednak wysoko, by było widać, czy ma tatuaż. Steve zsunął się na krześle tak nisko, jak tylko mógł, nie wzbudzając podejrzeń i nie spadając pod stół. Nic z tego.

Jeśli miał się upewnić, musiał zobaczyć więcej. Zastanawiał się nawet, czy nie udać, że spadł z krzeselka. Spod stołu zajrzałby pod spódniczkę blondynki. Doszedł jednak do wniosku, że to niezbyt rozsądne, zwłaszcza że miał nie zwracać na siebie uwagi.

Już wstawał, kiedy zobaczył Lissę wychodzącą na parkiet z siwym mężczyzną. Steve zastanowił się, co ma zrobić: opuścić lokal czy odbić ją w tańcu? Gwałtowny ruch, jaki wykonał, zachwiał równowagę blondynki, która właśnie robiła kolejny obrót w pobliżu jego stolika. Klapnęła mu ciężko na kolana.

Objął ją rękoma w pasie i pomógł złapać równowagę.

- Wszystko w porządku?

Kącikiem oka widział Lissę, wirującą na oddalonym krańcu parkietu. Była pograżona w rozmowie. Jej partner poklepał ją po policzku i pocałował w nos.

- Pewnie - odpowiedziała blondynka, wierząc się na jego kolanach. - Chyba mi się zakręciło w głowie i potknęłam się o nogi brata. Słaby z niego tancerz.

Zachichotała, patrząc na niego bardzo szklistymi oczami. Steve nie miał wątpliwości - musiała sporo wypić.

- Dzięki za ratunek - dodała.

- Cała przyjemność po mojej stronie - powiedział, sadzając ją prosto i próbując jednocześnie wsunąć dłoń pod jej pupę, by zbadać rozmiar i kształt pośladków. Uznał, że to nie może być ta - były zbyt pulchne.

Nagle wyrósł przed nim facet ogromny jak góra.

- Ręce przy sobie, chłoptysiu.

Jego kwadratowa szczeka wyglądała naprawdę groźnie.

- Och, Jase, kochanie, nie zachowuj się tak. - Blondynka położyła mu dłoń na policzku. - Ten miły pan po prostu mi pomógł, kiedy Ronnie podstawił mi nogę, czy nie tak, Ron?

Ale Rona nie było już w pobliżu.

- I co jeszcze? - wysyczał olbrzym przez zaciśnięte zęby. Bójka o kobietę była ostatnią rzeczą, jakiej chciał Steve, zwłaszcza w obecności Lissy.

- Hej, bez urazy - powiedział szybko. - Pozwólcie coś sobie postawić. Jestem Steve Jackson.

Wyciągnął rękę do Jase'a. Ten, przyjrzawszy mu się podejrzliwie, obdarzył go jednym z uścisków, którymi wyciska się wodę z kamienia. Uśmiech nie zniknął jednak z twarzy Steve'a.

Olbrzym i blondynka zaprosili go do swojego stolika, z którego doskonale widział Lissę. Kiedy tylko opuścił ją jej towarzysz, by porzucać strzałkami do tarczy, Steve wstał, podszedł do niej i zaprosił ją do tańca.

Zgodziła się. Dłoń Steve'a była duża i ciepła. Prowadził ją pewnie w stronę parkietu. Na szczęście muzyka była raczej skoczna, tańczyli więc, nie dotykając się nawzajem. Lissa czuła jednak na sobie wzrok Steve'a. Nawet kiedy odwracała się tyłem, wiedziała, że przygląda się jej nogom. Dobrze, że włożyła spodnie. Żałowała, że nie potrafiła odmówić jego zaproszeniu do tańca. A kiedy muzycy zaczęli grać spokojną, zmysłową melodię...

ROZDZIAŁ TRZECI

Piosenka była bardzo stara, pełna romantycznych zachodów słońca i róż.

- Ładnie pachniesz. - Steve musnął w przelocie włosy Lissy. Ta krótka chwila sprawiła, że pociemniało jej w oczach. Tak bardzo chciała się do niego przytulić. Ledwie potrafiła się powstrzymać.

Odrzuciła głowę do tyłu i napotkała wzrok Steve'a.

- To tylko szampon - powiedziała. Uśmiechnął się ciepło.

- To nie szampon. To ty.

Przyciągnął ją trochę bliżej. Ich uda ocierały się o siebie. Lissa dawała mu się prowadzić bez oporów. Tak dobrze tańczył. Czuła się lekka, poddawała się zmysłowemu rytmowi ich ciał. Krążyli w milczeniu, trzymając się obrzeży parkietu.

Kiedy znaleźli się w pobliżu estrady, Ginny przykryła dłonią mikrofon, pozwalając pozostałym muzykom ciągnąć przez chwilę melodię.

- Niezły przystojniaczek, Liss - zagadnęła. - Może się zamienimy?

Lissa posłała jej piorunujące - taką miała przynajmniej nadzieję - spojrzenie. Ginny mrugnęła do niej znacząco i wróciła do piosenki tak gładko, jakby nigdy jej nie przerywała.

- To ty też śpiewasz? - zdziwił się Steve. - I co, zamienisz się z nią?

Lissa prawie się udławiła. Do pioruna z tą Ginny! Zawsze igra z ogniem. To do niej podobne: podsunąć coś takiego Steve'owi. Będzie teraz zadawał pytania.

- Nie! - rzuciła ostro.

- Nie śpiewasz czy nie chcesz się z nią zamienić?

- Jedno i drugie.

Przytulił ją do siebie jeszcze mocniej.

- To dobrze - zamruczał jej prosto do ucha. Czuła na policzku jego oddech. - Bo wolę tańczyć z tobą niż z nią.

Przesunął ręką po jej plecach i przycisnął do siebie.

- Nieźle do siebie pasujemy. Ty i ja.

Wiedziała, że to prawda. Był wyższy od niej akurat tyle, ile trzeba. Czuła się z nim dobrze. Zbyt dobrze. Niepokoiło ją to. Miała nadzieję, że zespół zagra teraz coś szybkiego, żywego. Coś, co wyrwałoby ją z ramion Steve'a Jacksona. Powinna trzymać się od niego z daleka. A powietrze, którym oddychała, było tak silnie przesycone zapachem jego ciała.

Postanowiła, że kiedy znowu zbliżą się do sceny, poprosi Charliego, pianistę, o coś szybszego. Oczywiście, to się może udać, jeśli będzie nadal żywa, kiedy tam w końcu dotrą. A już teraz bliska była omdlenia. Nie była pewna, czy jeszcze oddycha, ale stwierdziła ze zdziwieniem, że to nie ma najmniejszego znaczenia. Przecież... czuła. Odczuwała tak wiele, że jej zmysły wydawały się nie nadążać z rozpoznawaniem i rejestracją wszystkiego, co się z nią działo. Tymczasem właśnie przemknęli obok estrady. Zrezygnowała z próby kontaktu z Charliem. Nie mogła. Nie była zdolna przerwać tańca ze Steve'em. Dopóki gra muzyka... Muzyka? Jaka muzyka? Czy to muzyka, czy to jej serce tak łomocze? Nagle pomyślała, że może istotnie muzyka już dawno ucichła, a ona i Steve kołyszą się nadal w rytm uderzeń, których nikt poza nimi nie słyszy.

Zdała sobie sprawę, że miała zamknięte oczy, dopiero gdy zmusiła się, by je otworzyć. Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy jej głowa opadła na ramię Steve'a i jak długo tam pozostawała. Kiedy znowu znaleźli się przed sceną, rzuciła swojej najlepszej przyjaciółce błagalne spojrzenie.

- Ostrego rocka! - udało jej się wydusić. Pozostawało jej tylko mieć nadzieję, że wypowiedziana chrapliwym głosem prośba dotarła do Ginny.

Dzięki Ci, Boże! pomyślała. Właśnie kiedy znowu oddalali się od estrady, zobaczyła, że Ginny odwraca się i szepcze coś do Lorne'a, saksofonisty, a ten podaje wiadomość dalej do Charliego.

Już prawie wyrwała się z objęć Steve'a. Dynamiczna, głośna muzyka będzie jak zimny prysznic. Ale głos Ginny ścichł, saksofon zaczął zawodzić łagodnie, Charlie przebiegł palcami po klawiaturze, a skrzypce Marshy podążyły płaczliwie za saksofonem.

- *When I fall in love* - śpiewała miękko Ginny - *it will be forever...*

Lissa czuła oddech Steve'a na włosach. Podczas wcześniejszych wyczynów na parkiecie jej fryzura trochę się rozluźniła, spinka nie trzymała już włosów tak ciasno.

Steve cicho zaczął wtórować Ginny. Miał przyjemny głos, głęboki, niski, trochę chropawy. Lissie wydawało się, że przesącza się on przez pory jej skóry, dociera gdzieś w głąb ciała. Steve przytulał ją coraz mocniej, ich palce były silnie splecione. To było za wiele. Pomyślała, że już dłużej nie wytrzyma, A jednak nie mogła tego przerwać. Świat wirował wokół niej. Otulał ją szczelnie miękkimi, ciemnym aksamitem.

Zachciało się jej płakać. Zacisnęła mocno powieki, schowała twarz na piersi Steve'a, chcąc uciec od jego głosu, od oddechu muskającego jej ucho. W efekcie znaleźli się jeszcze bliżej siebie. W końcu Lissa zrezygnowała z walki i poddała się ogarniającym ją uczuciom. Czerpała rozkosz z każdej chwili. Pozwoliła sobie na tę odrobinę szaleństwa, na tle którego jej codzienne życie nagle wydało się puste i nijakie. Nigdy nie widziała tego tak jasno i tak boleśnie.

Ginny skończyła śpiewać. W powietrzu drgały jeszcze ostatnie, pełne melancholii dźwięki saksofonu Lorne'a. Na chwilę zapadła absolutna cisza, po czym tancerze i słuchacze spod baru zaczęli entuzjastycznie klaskać. Steve wypuścił z objęć odrętwiałą Lissę. I on chciał podziękować muzykom. Lissa również próbowała bić brawo, ale już samo utrzymanie się na nogach wymagało sporego wysiłku.

- Teraz chwila przerwy - powiedziała Ginny do mikrofonu. Powoli wszyscy opuszczali parkiet. Przez moment Lissie wydawało się, że nie będzie w ogóle w stanie się ruszyć. Z tyłu podszedł do nich jej ojciec.

- Już wpół do jedenastej, kochanie. Gotowa? - spytał. Kiwnęła głową bez przekonania. Zmusiła się do tego, by spojrzeć na Steve'a.

- Dobranoc - wymamrotała.

Starszy mężczyzna otoczył ją ramieniem, ona objęła go w pasie. Na zewnątrz było chłodno. Padało. Lissa kilka razy odetchnęła głęboko. Szybko wracała do siebie.

- Dzięki za kolację, tato. Chyba powinnam teraz pójść na łódź i przygotować się na nocną zmianę.

- Tak. - Cmoknął ją w policzek. - Zobaczymy się jutro? Spotkanie jest o dziesiątej.

- Będę na pewno - odpowiedziała. Patrzyła, jak ojciec odchodzi w ciemność.

- Ale tutaj - rzuciła w powietrze - byłam dzisiaj po raz ostatni. Przynajmniej do chwili, kiedy Steve Jackson stąd zniknie.

Co się z nią dzieje, do diaska? Tańczyła z nim jak z żadnym innym mężczyzną przedtem. Nie pozwoliła sobie na coś takiego nawet wtedy, kiedy była młoda i głupia i wierzyła, że każde przelotne uczucie musi być prawdziwą miłością. Teraz była starsza i o niebo mądrzejsza. A w każdym

razie na tyle mądra, by rozpoznać to uczucie, które wzbudził w niej Steve. To nie była miłość. To było pożądanie.

Z tym umiała sobie radzić. Wystarczy odrobina samodyscypliny. Trzeba nieustannie przypominać sobie, w jakie kłopoty mogłoby to ją wpędzić. Na takiego mężczyznę jak Steve jest tylko jeden sposób - trzymać się z dala od niego. Bardzo, bardzo daleko.

Co ona sobie, do diabła, myśli! Ten facet powiedział tylko: „Czas iść, kochanie” i już jej nie było. Tak po prostu. Steve ledwie potrafił opanować wściekłość, patrząc, jak Lissa wychodzi ze starszym mężczyzną. A niech to! Niemożliwe, żeby nie czuła choć w części tego, co on. Żeby nie zauważyła, jak idealnie do siebie pasują, jacy są podobni. Czuli to samo, zwracali uwagę na te same szczegóły, te same słowa w piosence miały dla nich znaczenie. Był tego pewien, dałby sobie uciąć głowę. Ale kiedy tylko na horyzoncie pojawił się jej siwowłosy narzeczony, poszła za nim bez zastanowienia.

Co ona takiego widziała w tym starcu? W czym Steve jest gorszy? Przyznał w duchu, że to głupie pytanie. Chodziło o forszę, szmal, mamonę czy jak to nazwać. A on? Bezrobotny nurek. Nie miał żadnych szans.

Podszedł do baru i zamówił sobie kolejne piwo. Usiadł na stołku i rozejrzał się dookoła. Blondynka z długimi nogami siedziała samotnie przy stoliku. Nigdzie w pobliżu nie było widać jej goryla.

Pewnie, czemu nie, pomyślał. Wstał i z piwem w ręce zaczął przepychać się przez tłum tańczących w jej stronę.

- Zatańczysz?

Uśmiechnęła się w odpowiedzi. Oczy błyszczały jej jeszcze bardziej niż przedtem. Skoczyła na równe nogi i zaczęła podrygiwać przed nim. Zachęcił ją do kontynuowania występu, klaskając rytmicznie.

Może lepiej byłoby spróbować ją uspokoić, ale ona już wskoczyła na krzesło, a potem na stół...

Na ziemię sprowadziło go mocne szarpnięcie za kołnierz. Druga pięść zacisnęła się na jego pasku. Steve nie zauważył nawet, kiedy znalazł się na zewnątrz. Jego stopy wlokły się bezwładnie po wilgotnym żwirze parkingu. Po chwili całe sto dziewięćdziesiąt centymetrów i osiemdziesiąt kilka kilogramów jego poniżonego ciała wylądowało na pace niewielkiej furgonetki.

Jase był prawie o dziesięć centymetrów wyższy, z piętnaście szerszy w ramionach i cięższy o jakieś dwadzieścia kilo od Jacksona. Steve chciał załatwić sprawę pokojowo nie tylko dlatego, że był zdecydowanie słabiej wyposażony przez naturę i miałby niewielką szansę w walce z Jase'em. Zdażył już dokładnie i szczegółowo przyjrzeć się dolnym partiom ciała blondynki, która miała na sobie wysoko wykrojone figi, dzięki czemu było dobrze widać, że nie ma żadnego tatuażu na lewym pośladku.

Przeprosił więc Jase'a, a ten klepnąwszy go w ramię tak, że prawie usiadł na ziemi, pozwolił mu odejść.

Wyboistą drogą Steve wrócił do zajazdu. Za recepcyjnym kontuarem, tam, gdzie miał nadzieję zobaczyć Lissę, stała kobieta w średnim wieku, która miała tak skrzywioną minę, jakby bolał ją kręgosłup albo obtarte nogi. Spojrzała na niego jak na kolejne wcielenie Kuby Rozpruwacza. W sali klubowej znudzony barman polerował kieliszki. Było prawie pusto. Dwie starsze pary grały w karty, a jedna w scrabble.

Mężczyzna uniósł głowę znad planszy i zwrócił się w stronę Steve'a.

- Hej. Mieszka na najwyższym piętrze? Steve chwilę się wahał, po czym przytaknął.

- Trochę ciszej dziś w nocy, jeśli można. Moja żona i ja mamy po osiemdziesiąt siedem lat. Przyjeżdżamy tu od pięćdziesięciu, nikt nam nigdy tak nie tupał nad głową. Potrzebujemy dużo snu. To spokojne miejsce, więc niech się zachowuje jak należy. Chce się awanturować, niech idzie do tej jaskini grzechu po drugiej stronie ulicy. Zrozumiał?

Steve zdławił śmiech. „Chuckles” jaskinią grzechu? Ale rzeczywiście, w porównaniu z zajazdem „Madrona”, działo się tam trochę więcej. Przeprosił grzecznie staruszków, niczego im jednak nie wyjaśniając.

Kiedy wchodził po schodach na górę, dobiegł go jeszcze drżący, kobiecy głosik.

- Brawo, Harry. Tym młodym trzeba...

Reszty zdania już nie usłyszał. Czego trzeba młodym? Dyscypliny? Dawno już przestał uważać siebie i swoich rówieśników za młodych. No, ale rzeczywiście - dla osiemdziesięciosiedmiolatka trzydziestosiedmiolatek to szczeniak.

Kiedy dotarł do pokoju, rzucił się ciężko na łóżko i zasnął jak zabity. Z głębokiego snu obudziło go jakieś skrzypienie. Przetarł oczy, usiadł i spojrzał do góry. Czyżby ten odgłos dochodził ze strychu?

Nie, z szafy. Brzmiało to jak klekotanie metalowych wieszaków. Na chwilę zapadła cisza, po czym w szafie zaczęło się dziać coś jeszcze dziwniejszego. Steve siedział znieruchomiał i wpatrywał się w drzwi. Wreszcie wstał powoli i otworzył je gwałtownie. Jego spodnie, koszule i marynarki porządnie rozwieszono na wieszakach, które - doskonale to

pamiętał - stłoczył po prawej stronie szafy, w tajemniczy sposób przemieściły się na stronę lewą.

Nachmurzył się.

Czyżby stary zajazd przekrzywił się na jedną stronę w ciągu ostatnich kilku minut? Nie, to niemożliwe. Owszem, nowe budynki pracowały jeszcze jakiś czas po ich wybudowaniu, ale nie taka stara, wzniesiona z drewna i kamienia konstrukcja. Zresztą poprzeczka w szafie wydawała się perfekcyjnie wypoziomowana.

Steve przesunął wieszaki z powrotem na prawą stronę i zamknął drzwi szafy. Był w połowie drogi do łóżka, kiedy znowu usłyszał pobrzękiwanie wieszaków. Doskoczył do szafy, otworzył ją i zdażył jeszcze zobaczyć ubrania lekko kołyszące się po lewej stronie. Znowu przesunął wszystko na prawo i odsunął się, tym razem nie zamykając drzwi. Usiadł na brzegu łóżka i czekał. Nic się nie zdarzyło. W końcu znudził się, stwierdził, że tej nocy nic się już chyba nie będzie działo, zgasił światło i położył się spać.

Jednak kiedy tylko zamknął oczy, wieszaki w szafie zaczęły swój szaleńczy taniec od nowa. Zerwał się na nogi, zapalił światło i skoczył w tamtą stronę. Ubrania znowu stłoczone były w lewym rogu.

- Świetnie. Niech wam będzie. Wiście sobie, gdzie chcecie - powiedział, zatrzasnąwszy drzwi szafy.

Tajemnicze wypadki były tak irytujące, że nie było teraz mowy o śnie. Steve wciągnął więc na siebie dzinsy i koszulkę, po czym wyszedł z pokoju.

Schodząc w dół, spojrzął na zegarek. Była prawie pierwsza. Miał nadzieję, że znajdzie sobie jakieś zajęcie, które pozwoli mu zapomnieć o

tych wygłupach w pokoju. Najbardziej liczył na zajęcie przy recepcyjnym kontuarze.

Miał szczęście. Skrzywiona kobieta już sobie poszła, jak również barman i goście z pokoju klubowego. Przy komputerze w recepcji siedziała Lissa. Słyszając jego kroki uniosła głowę i rzuciła mu pełne zaskoczenia spojrzenie. Dwa razy kliknęła myszką i kiedy Steve był na tyle blisko, by widzieć ekran monitora, był on już zupełnie pusty. Z jakiegoś powodu zdawało mu się, że Lissa czuła się winna. Czym się zajmowała?

Winna czy nie, na pewno Wyglądała świeżo i spokojnie. Tak samo zresztą jak poprzedniej nocy. Włosy miała ciasno splecione, zamiast dzinsów włożyła długą, czekoladowobrązową spódnicę z różową falbaną na dole i różową bluzkę. Zarumieniła się lekko na jego widok i wstała. Ręce trochę się jej trzęsły, więc schowała je za siebie.

- Dobry wieczór, panie Jackson.

Stała za kontuarem i uśmiechnęła się z wymuszonym chłodem. Wydawało mu się, że ta, która stoi przed nim i ta, z którą tańczył tego wieczora w „Chuckles”, to dwie różne kobiety. Przypomniawszy sobie, jak było im ze sobą dobrze. Gdyby ten starszawy gość mu jej nie odbił, tańczyłby z nią przez całą noc, nawet gdyby przestała grać muzyka. Zresztą do tańca, o którym myślał, muzyka nie była niezbędna.

- Jak tam sufit? Nie wali się panu na głowę? Nic nie spada? - Uśmiechnęła się od ucha do ucha. - Żadnych kobiet? Zdaje się, że pan je przyciąga.

- Czyżby mówiła pani o sobie? - zapytał prowokacyjnie.

- O Caroline Newson, tej, która upadła panu na kolana.

- No, to naprawdę nie moja wina.

- Wina? Pewnie, że nie. Mam nadzieję, że dobrze się pan dziś bawił.

- Momentami - powiedział, opierając się o kontuar. - Momentami było niezmiernie. A pani?

Uśmiechnęła się niezobowiązująco.

- Momentami nieźle. Co mogę dla pana zrobić, panie Jackson?

Odchrząknął.

- Po pierwsze, proszę mi mówić po imieniu.

- Więc co mogę dla ciebie zrobić, Steve?

- Nie mogę spać.

- Przykro mi to słyszeć.

Nie powiedziała: „A co mnie to obchodzi?”, ale i tak można było taką myśl odczytać z jej tonu. W jej oczach widział śmiech albo nawet kpinę.

- To ze zmartwienia - mówił dalej, jakby zapytała go o przyczynę bezsenności. - Boję się tego, co może spaść na mnie przez sufit. Mógłbym tu chwilę zostać?

- Poczęstuj się ciasteczkami cytrynowymi. - Podsunęła mu tacę. - Są też jabłka i pomarańcze. - Na kontuarze zawsze stał koszyk z owocami i taca z różnymi wypiekami. Goście mogli się częstować do woli. - Może jesteś po prostu głodny i pomoże ci mała przekąska.

- Wątpię - odpowiedział. Zrobił dziwną minę, ściszył i zniżył głos. Chciał przypomnieć jej o pocałunku, który jej wczoraj skradł. - Ale wiem, co mogłoby mi pomóc.

- Ja też wiem.

- Tak? A co?

- Kubek gorącego mleka. Steve wybuchnął śmiechem.

- Rany! Oczekiwałem na przykład propozycji spotkania we dwoje.

- Mam ci to zorganizować? - zapytała z kamienną twarzą, w której tylko oczy błyszczały.

- Spotkanie we dwoje?

Milczała chwilę, by mógł podejrzewać, że naprawdę się zastanawia, po czym odpowiedziała z nutką nagany w głosie:

- Nie, kubek mleka.

- Wystarczyłby mi taki pocałunek, jaki wczoraj od ciebie dostałem.

- Ja ci go nie dawałam.

- Doprawdy? - zapytał, opierając łokieć o kontuar i kładąc brodę na dłoni.

- Ho, ho - powiedziała drwiąco. - Pewnie ze sto kobiet mówiło ci, że w tej pozycji wyglądasz szczególnie seksownie.

- Więcej niż sto. A ty jak uważasz?

- Uważam, że wyglądasz idiotycznie - odparła.

Oboje wyprostowali się na dźwięk skrzypiących drzwi wejściowych. Do środka wszedł George Fredericks i jego dwaj dorośli synowie, Jamie i Mark. Steve siedział w czasie posiłków przy jednym stoliku z nimi i z siostrami Allenda z Kalifornii.

Mężczyźni śmiali się głośno. Ledwo trzymali się na nogach. Najwyraźniej sporo wypili tego wieczoru w „Chuckles”.

- Cześć, Liss! - krzyknęli zgodnym chórem. Drzwi zatrzasnęły się za nimi z hukiem.

- No, to miałeś dzisiaj wieczór, co, Steve? - George zarechotał. - Chociaż trzeba przyznać, że zdołałeś utrzymać się na nogach i zachowałeś spokój. Można by pomyśleć, że codziennie wylatujesz z barów.

Steve spojrzał z obawą na Lissę. Śmiała się. W innych okolicznościach uznałby to za urocze.

- Wywalili się z „Chuckles”? - zapytała.

- Prawie... Sam wyszedłem... I tak miałem już iść. Zadanie na wieczór wykonałem.

- Jakie zadanie?

- Obejrzenie nóg Caroline ze szczegółami - wtrącił się szybko George, waląc pięścią w tacę z ciasteczkami. - Jase pomógł mu wyjść. Ależ to był widok! Szkoda, że cię tam nie było, Liss. Caroline tańczyła na stole przed Steve'em, a chwilę potem Steve wychodził niesiony przez Jase'a. - George chwycił jedno z ciasteczek, ugryzł duży kęs, spojrzał na Steve'a i dodał: - Wielki facet z tego Jase'a, co nie? - Czknął głośno. - Trzeba mieć tupet, żeby poprosić Caroline do tańca, a co dopiero pozwolić jej wskoczyć na stół i zaglądać pod spódnicę.

- Dzięki, George - powiedział oschle Steve.

Obiecał sobie, że jutro w czasie śniadania będzie bardzo głośno mówił i szczekał sztuczkami. W połączeniu z kacem, jakiego George zapewne będzie miał rano, hałas zadziała zabójczo. Musiał mu się czymś odpłacić za ten występ. Teraz dopiero zrobił z siebie pośmiewisko przed Lissą.

- Caroline sama wskoczyła na stół - odezwał się po chwili.

Lissa spojrzała na niego z niedowierzaniem. Sam wiedział, że jego tłumaczenie wypada bardzo blado. Popatrzył na Fredericksów. Synowie taszczyli ojca po schodach. Kiedy zniknęli na pierwszym podeście, Steve odwrócił się do Lissy. Rozłożyła na kontuarze kilkanaście szkiców. Na jednym z nich coś dopisywała. Każdy rysunek przedstawiał średniowieczną scenę.

- Co to? - zapytał. Uniosła głowę.

- Plan na tegoroczny festiwal.

- Aha, „Szaleństwo w Madronie”. Wszyscy o tym mówią. Kobieta w sklepie z narzędziami powiedziała, że to tak naprawdę twoje dzieło.

- Niezupełnie. Pracuje nad tym wiele osób, w tym sama Debbie.

Spojrzał na nią pytająco.

- Deb ma sklep z narzędziami.

Ciekaw był, jak mieszka się w miasteczku, gdzie wszyscy wszystkich znają i gdzie jest tylko jeden sklep z narzędziami. To samo miejsce pełni też zresztą funkcję wypożyczalni kaset wideo, monopolowego i poczty.

- Ja tylko koordynuję wszystkie prace. - Lissa wzruszyła ramionami.

- Zbieram pomysły i składam je w całość.

Nie dał się na to nabrać.. Na pewno robiła więcej. Poza tym to był dobry temat do rozmowy, a on chciał rozmawiać. A raczej: patrzeć, jak ona mówi.

- Co jeszcze?

Znowu wzruszyła ramionami.

- Wyznaczam miejsca na stragany, dbam, by wystawcy i sprzedawcy mieli wszystko, co potrzebne. W tym roku tematem festiwalu są bajki i legendy.

Steve spojrział na rysunki i przeczytał jeden z podpisów.

- Las Sherwood?

- Tam odbędzie się turniej strzelania z kusz. Mój tato się tym zajmuje. Bardzo się z tego cieszę, bo bierze udział w festiwalu po raz pierwszy od lat.

Steve dostrzegł w jej oczach wyraz szczęścia, usłyszał je też w tonie jej głosu. Musiała bardzo kochać swojego ojca.

- Czemu?

- Kilka lat temu miał wylew. Na dłuższy czas odciął się od życia. Fakt, że w tym roku z takim entuzjazmem zajmuje się przygotowaniem do festiwalu, świadczy o tym, że wreszcie doszedł do siebie. A to dobrze, bo...
- zamilkła nagle.

- Bo co? Wzruszyła ramionami.

- Bo kto chce, żeby jego ojciec był chory?

Steve musiał przyznać jej słusność. Podejrzewał jednak, że coś próbowała przed nim ukryć.

- A to jest podpisane: „Arena Potyczek” - powiedział po chwili. - W wodzie?

- Tak - Lissa spojrzała na niego z uśmiechem. - W czasie przyływu.

- A co na to konie?

Jej głośny śmiech wypełnił wnętrze holu.

- Żadnych koni. Tylko kłody i tyczki. Po prostu nazwaliśmy tak nasze zwykłe zawody w przeskakiwaniu z pnia na pień, kołyszących się w wodzie.

- Och, cudownie! Nie bawiłem się w to od czasu, gdy miałem z osiem lat. Zawsze marzyłem, żeby tego jeszcze kiedyś spróbować.

- Mamy niezłych zawodników. Zabrzmiało to jak ostrzeżenie.

- A to? - zapytał, wskazując na półkolistą ułożone prostokąty.

- Stragany wystawców.

Uniosła rysunek, który przedstawiał małą budowlę otwartą z przodu i nakrytą czymś, co wyglądało jak strzecha.

- To oczywiście tylko dekoracja. Każdy daszek będzie wykończony jednym rzędem słomy. Chcieliśmy uzyskać wrażenie rynku w średniowiecznym miasteczku, położonym u stóp zamku.

- Kiedy przyjechałem do Madrona Cove, miałem wrażenie, że czas się tu zatrzymał.

- Zatrzymał. W jakiejś deszczowej porze. - Uśmiechnęła się. - Przez pierwsze dni twojego pobytu bardzo padało, prawda?

- Mnie to nie przeszkadza. Rozejrzałem się po okolicy. Ciekawe miasto, z tymi małymi domkami usadowionymi na klifie.

- Wiem - odpowiedziała. - Kocham Madrona Cove głównie za to, że prawie wcale się nie zmienia. Odkąd pamiętam, jest takie samo.

- Miło jest mieć coś stałego w życiu. To daje pewnie poczucie stabilności. Ciekawe, czy twoi pradziadkowie dostrzegliby wiele zmian w mieście.

Śmiech Lissy był cichy i miękki. Steve czuł się, jakby owiał go ciepły wiatr.

- Mam nadzieję, że nie. Ale trochę się jednak zmienia. Na naszych corocznych festiwalach zebraliśmy już pieniądze na nową bibliotekę, basen i centrum rekreacyjne, a w tym roku...

Zamilkła i spojrzała w dół. Na podłogę spadł jeden ze szkiców.

Steve podniósł go i położył na kontuarze.

- A w tym roku? - zapytał, choć wiedział, że wcale nie zapomniała, o czym mówiła, tylko z jakiegoś powodu nie chciała kontynuować.

- Na to, na co zbieramy.

- Czyli?

Zdawało się, że zapędził ją w kozi róg. Po chwili jednak uniosła głowę, wyprostowała się i spojrzała mu prosto w oczy.

- Cel zmienia się co roku, zawsze jednak ma to być coś, co będzie służyło miejscowej społeczności.

Steve ściągnął brwi. Dlaczego wcześniej nie chciała mu tego powiedzieć?

- W jaki sposób gromadzone są fundusze? - spytał.

- Mieszkańcy Madrona Cove wynajmują stragany i sprzedają na nich różne rzeczy. Zjeżdża się tu sporo ludzi z bliska i daleka. Jedni obozują tu, mieszkają na łodziach, inni przylatują samolotami i zatrzymują się w hotelach lub zajazdach w wielu okolicznych miejscowościach. W czasie tego weekendu w Madrona Cove przebywa cztery razy więcej ludzi niż zwykle. Jest wtedy trochę ciasno, ale oczywiście cieszymy się z gości, bo na fundusz spływa procent od wszystkich sprzedaży, a także z wynajmu. Są też imprezy finansowane przez samych mieszkańców. Nawet jeśli nie wynajmują straganów, to i tak spora część ich oszczędności trafia na fundusz. Płacą wpisowe, by wziąć udział w różnych zawodach, obstawiają zakłady i temu podobne. Takie na przykład zatapianie czarownicy albo...

- Zatapianie czarownicy? - przerwał jej ze śmiechem. Lissa popatrzyła na niego, jakby zastanawiała się, jak wysoka byłaby fontanna wody, gdyby to Steve'a do niej wrzucili.

- Tak się to nazywa w tym roku, zgodnie ze średniowiecznym wątkiem przewodnim.

- A kto występuje w roli czarownicy?

- Ochotnicy, którzy zdecydują się na kąpiel w ubraniu.

- Aha. Ludzie sprzedają różne rzeczy. Są konkursy i zabawy. Mam pomysł. Czy mógłbym wynająć jeden stragan?

Lissa zmarszczyła czoło.

- Po co?

Steve uklęknął przed nią na jedno kolano.

- Chciałbym przeprowadzić wnikliwe poszukiwania Kopciuszka.

Zacisnęła kurczowo ręce na brzegu kontuaru, kiedy zamknął w dłoniach jej ciepłą, nagą stopę. Zmrużyła oczy.

- Naprawdę? Po co ci to?

Przesunął wolno palcem od pięty do palców. Pociągająca stopa. Zabawne, nigdy specjalnie nie zwracał uwagi na stopy. Zdecydowanie bardziej interesowały go wyższe partie nóg. A teraz miał ochotę położyć sobie tę małą stópkę na kolanach, pieścić różowe palce, całować podbicie...

Przerwał te rozmyślenia, zdając sobie sprawę, że jeśli posunie się dalej, będzie go to sporo kosztowało.

- Chcę odnaleźć moją tajemniczą księżniczkę.

- Chyba już kiedyś o tym rozmawialiśmy. Lepiej wstań, zanim zrobisz coś naprawdę głupiego, na przykład mi się oświadczysz. Kiedy ostatnio klęczał przede mną mężczyzna, tym się właśnie skończyło.

- Jaką mu dałaś odpowiedź? - zapytał nieco łamiącym się głosem.

- Miałam dwadzieścia lat, klęczał przede mną facet i wręczał diamentowy pierścionek w niebieskim pudełeczku. Pewnie, że powiedziałam „tak”.

Steve wybuchnął nerwowym śmiechem. Ona to ma talent do robienia go w konia. Poczul się głupio, klęcząc, więc wstał szybko.

- Aha, łatwo mogę sobie wyobrazić, że takie argumenty do ciebie przemówiły.

Musnął palcem jej dłoń. Nie nosiła obrączki.

- Co się stało z tym gościem?

- Nie mam bladego pojęcia - powiedziała, uwalniając dłoń. - Byliśmy zaręczeni przez jakieś trzy miesiące. Tak bardzo lubił zdobywać kobiety i prosić je o rękę, że robił to trzy do czterech razy w roku. Miał tyle narzeczonych, że w końcu został bez żony.

- Nie wydaje mi się, żeby ten wypadek złamał ci serce.

- Wtedy było mi ciężko, a w każdym razie tak mi się zdawało. Ale tyle razy potem byłam zaręczona i nic z tego nie wychodziło, że zobojętniałam. Między dwudziestym a trzydziestym rokiem życia oświadczano mi się sześciokrotnie. Teraz już nie daję się złapać na ten lep.

Czy to znaczy, że nie jest związana z tym starszym jegomościem, któremu siedziała na kolanach?

- Czy to znaczy, że jeśli facet ci się oświadcza, automatycznie otrzymuje przeczącą odpowiedź? A gdybym ja poprosił cię o rękę? Powiedziałabyś „nie”?

Jej dźwięczny śmiech działał na niego jak delikatne dotknięcie palców na twarzy.

- Pewnie bym zapytała, czy znowu jakaś skrzynia nie spadła ci na łepetynę.

- Bądź spokojna o moją głowę. Nigdy nie spadła na nią żadna skrzynia - odpowiedział, muskając opuszkami palców jej policzek. - Ale rzeczywiście chyba mi trochę ostatnio odbija. Zwłaszcza jeśli chodzi o ciebie. Mam przeczucie, że jeśli zostanę tu dłużej, zrobię dokładnie to samo.

- Dokładnie co?

- Oświadczę ci się.

Nie potrafił ocenić, kogo bardziej zaskoczyły jego słowa: ją czy jego samego.

- To lepiej stąd wyjedź.

Lissa rzuciła mu chłodne spojrzenie i wyszła do biura na tyłach recepcji. Steve wzruszył ramionami i zaczął w myślach wyzywać się od idiotów.

Kiedy wrócił do pokoju, wieszaki z ubraniami wisały znów po prawej stronie szafy. Za to otwarte były wszystkie szuflady. Na jego oczach, jedna po drugiej, zamknęły się cicho. „Szuka tego kolczyka...” Przeszył go zimny dreszcz.

- Duchów nie ma - powiedział na głos, a jego słowa odbiły się echem od ścian pokoju. Usłyszał stłumiony, upiorny śmiech, czy tak mu się tylko zdawało?

Zdawało mu się. Na pewno. Bez wątpienia.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Wybijcie to sobie z głowy!

Lissa stała przed członkami komitetu, siedzącymi w przyczepie jej ojca. Nogi rozstawiła szeroko, a ręce oparła na biodrach. Gdyby wzrok mógł zabijać, wszyscy zgromadzeni dawno już byliby martwi.

- To zadanie Ginny!

- Ale on nawet na mnie nie spojrział - powiedziała Ginny.

- To niemożliwe. Wszyscy faceci za tobą szaleją.

- Nie wszyscy. A Phil?

- Wydawało mi się, że to ty wystąpiłaś o rozwód.

- Ja. Ale rozwiodłam się, bo przestał mnie zauważać. Chciał, żebym była żoną na pokaz. Nigdy nie wiąż się z prawnikiem, Lisso.

- Nie ma obawy. W ogóle nie zamierzam wychodzić za mąż.

- Dziewczyny, spokojnie! - Rosa grzotnęła o stół szklanką z grubym dnem. - Lisso, nikt cię nie prosi, żebyś za niego wychodziła.

Mogłabyś jednak, no... tak jak powiedział twój tato, trochę go urobić. Bądź po prostu dla niego miła, i już. Zajmij go, zawróć mu w głowie, trzymaj z dala od zajazdu albo chociaż jego pokoju, żeby chłopcy mogli z wszystkim skończyć.

- Niby z czym? - zapytała Lissa. - Nie wystarczą szuflady i wieszaki? A kiedy Larry zamontuje magnetofony na strychu... Przy okazji, dziękuję ci, Larry, że zgodziłeś się to zrobić. Ja bym tam nie weszła drugi raz za żadne skarby świata. O czym to ja mówiłam? Aha, kiedy magnetofony znajdą się na odpowiednim miejscu i pan Jackson posłucha sobie nagrań, to po jednej nocy wyniesie się stąd gdzie pieprz rośnie.

- Obawiam się, że nie masz racji. - Reggie objął swoimi dużymi, spracowanymi dłońmi kubek z kawą. - Rozmawiałem z nim wczoraj. To nie jest strachliwy facet. I nie wierzy w duchy.

- No to po co montować resztę sprzętu? - zapytała rozdrażniona Lissa.

- Może gdyby któreś nocy załamało się pod nim łóżko... - powiedział z uśmiechem Reggie.

- Ani się waż! - wybuchnął ojciec Lissy. - Dotknij tylko łóżka, a będziesz miał ze mną do czynienia.

Frank kochał stare meble po dziadkach. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego inni, w tym Lissa, nie dostrzegają w nich cennych dzieł sztuki.

- Jezu, Frank, żartowałem - uspokoił go Reggie.

- To dobrze, Reggie - powiedziała Lissa - bo Steve Jackson pewnie zadzwoniłby po mnie, żebym coś z tym zrobiła.

- Tylko że nie mogłabyś mu pomóc - powiedział Reggie.

- Właściwie - dodała po chwili namysłu Lissa - może nie byłoby źle, gdyby to łóżko się zawaliło. Jeden jego pokój zniszczyłam własnoręcznie. Brak łóżka w kolejnym mógłby go zmusić do wyjazdu.

- Może - wtrącił się jej ojciec. - Ale więcej korzyści odniesiemy, zatrzymując go tutaj i zatruwając mu skutecznie pobyt w Madrona Cove.

Tylko jak? Lissa już chciała o to zapytać, kiedy Rosa wystąpiła z kolejną propozycją.

- Mogę podawać mu najgorsze śniadania, jakie jestem w stanie przyrządzić, spalony boczek, zimne tosty, jajka ugotowane na kamień. A Jock - uśmiechnęła się do rudowłosej kucharki pracującej na ogół na wieczornej zmianie - mogłaby z kolei zrobić coś z jego kolacjami. Na lunch jest zawsze zimny bufet, więc tu nic nie zdziałyśmy, ale reszta...

- Tylko bez przesady - przerwał jej Frank. - A jeśli nam się nie powiedzie? Czy chcemy źle nastawić do siebie Jacksonów? Żeby nowa dyrekcja z miejsca wszystkich wylała? Czy nie powinniśmy działać inaczej? W końcu któż lepiej wpłynie na Jacksona seniora niż Jackson junior?

- Myślę, że masz sporo racji - przyznał Reggie, drapiąc się po głowie. - Nawet jeśli przegramy, to gdzieś przecież trzeba pracować. Choćby w jednym z hoteli sieci Jacksonów.

- Naprawdę wierzycie, że w nowoczesnym, wielkim hotelu zatrudniliby miejscowy personel? - zapytała Lissa. - Nie słyszałam o czymś takim.

- No właśnie. I to jest nasza szansa. Nie zostaniemy zaskoczeni wykupieniem zajazdu, możemy się na to przygotować - przekonywał jej ojciec. - Pozytywna opinia Steve'a Jacksona mogłaby nam pomóc. Lissa, to ty masz najwięcej do stracenia. W końcu rozmawiamy o czymś, co masz

we krwi, o twoim dziedzictwie. Jeśli miastu uda się kupić zajazd, to po mnie właśnie ty go przejmiesz, prawda? - zapytał zgromadzonych.

Wszyscy potaknęli w milczeniu.

Lissa zdusiła w sobie jęk. Jej ojciec doskonale wiedział, że nie zależy jej tak bardzo ani na samym zajęździe, ani na tych starych rupieciach po pradziadkach. Wiedział też, że ma inne plany i nie zamierza przez całe życie siedzieć w Madrona Cove.

- To twoje dziedzictwo, tato, nie moje - powiedziała stanowczo. - I właśnie dlatego nie przegramy z Jacksonami. Wiem, ile ten zajazd dla ciebie znaczy. Jestem pewna, że pieniądze zebrane podczas festiwalu wystarczą, by przebić ich ofertę. Będziesz kierował zajazdem.

- Więc zgadzasz się? - zapytał, najwyraźniej rozumiejąc jej słowa jako kapitulację. - Zajmiesz się Steve'em Jacksonem? Będiesz dla niego miła? Spróbujesz przekonać go do naszej społeczności?

- Nie - odpowiedziała, wstając. - Będę się zachowywać uprzejmie. Tak samo, jak w stosunku do każdego innego gościa. Ale nie liczcie na nic więcej. A teraz, przepraszam was, muszę już iść.

Była zmęczona po ostatniej nocy, nie przespanej z powodu Steve'a. Miała jeszcze do załatwienia tysiące spraw związanych z festiwalem. Zostało tylko dwa tygodnie. A tu jeszcze Steve na głowie...

Rany! Szuflady znowu się rozszalały. Jedna po drugiej otwierały się i zamykały. Kiedy się uspokoiły, swoją conocną wędrówkę rozpoczęły wieszaki w szafie. Steve z doświadczenia wiedział, że to może trwać z godzinę. Wczoraj i przedwczoraj zaobserwował, że nawet jeśli zostawił wieszaki po tej stronie szafy, po której - jak myślał - chciały być, po kilku minutach i tak zmieniały zdanie. Boże, co też mu się roi w głowie! Wie-

szaki nie myślą i nie mogą zmieniać zdania. Jeśli to dłużej potrwa, to i on przestanie myśleć. Doszedł już do tego, że nawet by się ucieszył, gdyby się okazało, że w zajeździe naprawdę jest duch. To byłoby jakieś wytłumaczenie.

Potrzebował odrobiny spokoju. Ale to nieosiągalne w tej sypialni. Wstał, ubrał się szybko i zszedł na dół.

Niestety w holu nie było Lissy. Na kontuarze stał mały, mosiężny dzwonek z długą, cienką rączką, a obok niego tabliczka z napisem „Proszę dzwonić”. Ciekawe, czy gdyby użył dzwonka, zbiegłaby z góry zarumieniona i zdyszana, oderwana nagle od absorbującego zajęcia udawania ducha? A może wyszłaby z pomieszczenia na tyłach recepcji, w którym zniknęła w niedzielę rano, kiedy zrobił z siebie kompletnego idiotę? A jeśli, to czy byłaby zaspana?

Zastanawiał się, czy na nocnej zmianie wolno jej się położyć, czy też musi tkwić kamieniem na stanowisku.

Dzwonek kusił go bardzo mocno. W końcu winien był jej przeprosiny. Ten dowcip o oświadczynach był zupełnie nie na miejscu. Nic dziwnego, że sobie poszła i zamknęła mu drzwi przed nosem. Od tamtej chwili minęły dwa dni, przez które w ogóle jej nie widział. Najlepiej będzie przeprosić ją jak najszybciej. Więc może naprawdę powinien zadzwonić po nią i porozmawiać choć przez chwilę. Ale jeśli ona śpi?

Odwrócił się przeszedł do pokoju klubowego, gdzie zasiadł w miękkim, głębokim fotelu. Znalazł jakiś magazyn i pograżył się w czytaniu, aż poczuł się mocno zmęczony. Miał nadzieję, że hałasy w pokoju już ustały i będzie mógł spokojnie zasnąć. Zresztą był już tak senny, że nawet gdyby tam nadal szalały duchy, chyba mu to nie przeszkadzało.

Zanim odłożył gazetę, wpadła mu w oko reklama szamponu. Uśmiechnął się do siebie. Modelka siedziała tyłem. Jej grube, proste brązowe włosy przypominały włosy Lissy. Modelka odrzuciła je do tyłu, na ramiona i plecy. Wyglądały jedwabiście. Prawie czuł ich zapach...

Wyobrażał sobie Lissę siedzącą na fotelu przy toalecie, szczotkującą włosy. Podeszedłby do niej na palcach i wyjął jej szczotkę z dłoni. Powoli, delikatnie przesuwałby ją po grubych pasmach. Zanurzyłby w nie palce, rozkoszował się ich dotykiem. Masowałby skórę jej głowy, wdychając zapach włosów. Lissa westchnęłaby, oparła się ciężko o jego tors, położyła głowę na jego ramieniu. Odwróciłby ją w swoją stronę i powoli dotknął wargami jej ust...

Głowa Steve'a opadła na oparcie, zamknął oczy. Dał się ponieść fantazji. Sprężyste, krągłe piersi ukryte pod nocną koszulą miękko i ciepło wypełniłyby jego dłonie. Objąłby mocno Lissę, przyciągnął do siebie i wziął do ust jeden sutek. Usłyszałby głośny jęk rozkoszy. Zachęcałaby go, by posunął się dalej, by wziął od niej, co tylko chce, przekonywała, że należy do niego, wszystko dla niego zrobi... Błagałaby go, by nie przestawał. A on opowiedziałby ze szczegółami o wszystkim, co chce z nią robić, co chce jej dać. Szeptałaby: „tak, tak, tak...”

Lissa rzuciła się na wąską leżankę stojącą w pokoju na zapleczu. Zawsze próbowała w czasie nocnej zmiany złapać chociaż kilka godzin snu. Strzepnęła poduszkę, nakryła się kocem i szukała wygodnej dla siebie pozycji.

Czemu nie mogła zasnąć? Głupie pytanie. Doskonale знаła przyczynę. Umysł zaprzętała jej wizja Steve'a Jacksona i jego dużych, ciepłych, kwadratowych dłoni pieszczących jej ciało. Słyszała znowu ten

niski głos, śpiewający prosto do jej ucha, dokładnie tak jak tej nocy, kiedy razem tańczyli.

Czy wiele było kobiet, którym śpiewał w tańcu? Idiotka, kogo chciała oszukać: oczywiście, że tak. To w jego stylu. W stylu wszystkich mężczyzn takich jak on. A w każdym razie wszystkich, jakich знаła, a znała wielu. Zbyt wielu. Zbyt wielu, by teraz przez jednego z nich miała ją męczyć bezsenność.

Magnetofony powinny być już zamontowane, ale Larry był bardzo zajęty. Do jego warsztatu trafiła duża łódź motorowa z uszkodzoną śrubą. Pracował nad nią po piętnaście godzin dziennie. Poza tym dziś wieczorem po tygodniu nieobecności wróciła jego żona, Janie, więc Larry miał prawdopodobnie teraz co innego w głowie. Obiecał, że jutro magnetofony znajdą się nad pokojem Jacksona.

Lissa opadła na plecy. I tak nie było najgorzej. Nie musiała zajmować się Steve'em, bo i wczoraj, i dziś poszedł na ryby.

Jeśli jutro też będzie łowił, może Larry'emu uda się w końcu załatwić sprawę z tymi nieszczęsnymi magnetofonami.

Leżanka wydawała się tej nocy wyjątkowo niewygodna. Poduszka była za mała, prześcieradło okręciło się wokół nagich nóg Lissy. Kamienne ściany oddawały ciepło wchłonięte podczas upalnego dnia. Lissa wiedziała, że powinna zmusić się do zaśnięcia, bo inaczej jutro będzie nieprzytomna. Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić.

Usiadła i spuściła nogi na podłogę. Pójdzie do sali klubowej i poczyta trochę tę wielką, nudną książkę o średniowieczu. Okazała się niezbyt pomocna w przygotowaniach do festiwalu. Więcej pomysłów nasunęła jej lektura bajek z obrazkami, które pożyczyła z biblioteki razem

z *Papierową księżniczką*. Tę ostatnią pozycję wzięła przez pomyłkę, ale była to miła pomyłka.

Lissa uśmiechnęła się do siebie pod nosem. Chętnie porównywała siebie do takiej księżniczki, księżniczki z charakterem.

Wstała, włożyła spódnicę, wygładziła bawełnianą bluzkę i uporządkowała włosy. Wsunęła pod pachę księgę o średniowieczu i nie zapalając światła, poszła do recepcji.

W klubie paliło się światło. Ruszyła w tamtą stronę i stanęła w progu jak wmurowana na widok Steve'a rozpartego w fotelu. Bose nogi oparł o stolik. Na kolanach miał rozłożony magazyn. Nie zdawał sobie sprawy z jej obecności, skorzystała więc z okazji, by dokładnie mu się przyjrzeć. Zastanawiała się, co też takiego w nim jest, że przyciąga ją jak magnes.

Och, był seksowny jak diabli, to prawda. I lubiła się z nim przekomarzać. Dawno już nie spotkała mężczyzny, z którym tak dobrze się bawiła.

Poruszył się lekko. Żeby tylko nie spojrzał w jej stronę. Ale nie, głowa opadła mu na oparcie, gazeta zsunęła się na podłogę. Zasnął! W sali klubowej! I co ona ma teraz zrobić? Jako pracownik hotelu powinna podejść do niego, szarpnąć go za ramię na tyle silnie, by go obudzić i odesłać do pokoju. W sali klubowej się, na Boga, nie śpi! Tylko tego trzeba, żeby teraz przyszedł kierownik zajazdu, Pete Hoskins, i zastał Steve'a śpiącego tutaj, podczas gdy ona jest na służbie. Pete jej nie lubił i chętnie wykorzystałby najdrobniejszy pretekst, by ją zwolnić. I tak miała szczęście, że nie dowiedział się o wypadku na strychu. Nie o to chodzi, że przejąłby się szkodami. Zupełnie nie dbał o zajazd. Był tu szefem od dwóch lat i podczas jego rządów miejsce podupadło bardziej niż przez wszystkie lata, kiedy kierowali nim jej dziadek i ojciec. Czasem myślała,

że Hoskins chce zobaczyć, jak morze zabiera resztki zajazdu i wszelki ślad po nim ginie. W takim wypadku może lepiej byłoby pozwolić ojcu Steve'a kupić zajazd i zmieść go z powierzchni ziemi jednym ruchem, niż patrzeć, jak powoli obumiera.

Ciekawe, co by zrobił, gdyby teraz weszła do środka, obudziła go i powiedziała mu, żeby sobie wziął cały ten kram i zdjął odpowiedzialność z jej ramion? Uwolniłaby się. Tylko... od czego?

Szybko podeszła do Steve'a. Miał zamknięte oczy. Oddychał wolno i regularnie. Ciekawe, co też mu się śni? Uśmiechał się tak szeroko...

Musiła walczyć z ochotą pogłaskania go i odgarnięcia mu z czoła kosmyka włosów. Skoncentrowana na tym pojedynku ze sobą, przegrała na innym froncie. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, chwyciła ręcznie tkaną wełnianą narzutę, żeby go przykryć. Kiedy się jednak nad nim nachyliła, zmartwiała. Teraz już nie miała wątpliwości, do czego tak się śmieje przez sen, ani dlaczego gazeta zsunęła się z jego ud. Zacisnęła zęby. Nie mogła zdecydować, czy jest bardziej zła na siebie, że robi to na niej takie wrażenie, czy na niego, że tak się zachowuje, śniąc o... o kim?

Na pewno nie o duchach.

Podniosła z podłogi magazyn i pacnęła nim głośno o stolik. Steve nie obudził się, ale z jego twarzy zniknął uśmiech, a czoło zachmurzyło się na moment. Lissa, wciąż zirytowana na siebie i na niego, przykryła go narzutą. Potem usiadła na sąsiednim fotelu i patrzyła na śpiącego.

Siedziała tak już dłuższą chwilę, kiedy usłyszała skrzypienie drzwi jadalni. Zerwała się i obróciła w tamtą stronę. To była Rosa, niosąca tacę z ciasteczkami dla gości. Rany! Już prawie piąta rano.

Lissa ruszyła na palcach w stronę recepcyjnego kontuaru, ale nie była dość szybka.

- Co jest? - wyszeptała Rosa, gapiąc się na Lissę przemykającą między klubem a recepcją i na Steve'a śpiącego w fotelu. - Co on tu, do diabła, robi? Przecież mówiłaś, że nie chcesz się z nim zadawać. - Puściła do Lissy oko. - Czyżbyś zmieniła zdanie?

- Wcale!

- Rzeczywiście! - Rosa postawiła tacę na kontuarze. - W tych sprawach nie o decyzje chodzi, prawda?

Lissę uratowało nadejście George'a, Marka i Jamie'ego Fredericksów.

- Cześć, Lisso! - krzyknął George. - Widziałaś, jaka pogoda? Ani jednej chmurki. Będzie wspaniały dzień.

Każdy z Fredericksów chwycił po kilka ciasteczek i wsunął je do papierowych torebek. Do kieszeni rybackich kurtek mężczyźni włożyli też po jabłku i pomarańczy.

- Kawa już jest? - zapytał George Rosę.

- Za chwilę, chłopcy.

Odgłosy rozmowy obudziły Steve'a Jacksona. Na dół właśnie zeszły Maria i Jacinta Allenda, również gotowe do wyjścia na ryby.

Lissa nie mogła zrobić nic, tylko stać i patrzeć, jak Steve siada i przeciąga się. Ziewnął, zasłaniając usta dłonią, i spojrzał prosto na nią.

Odwróciła wzrok, ale po chwili znowu mu się przyglądała. Wstał kocim ruchem i podniósł z podłogi narzutę, która tymczasem zsunęła się z niego.

Chciała uciec, schować się w jakąś mysią dziurę, ale nie potrafiła oderwać od niego wzroku. Było w nim coś, co przyspieszało krążenie krwi w jej żyłach, co sprawiało, że kolana jej miękły, a w głowie czuła zamęt. Nie odrywając od niej wzroku, Steve zrobił krok w jej stronę. Potknął się o

narzutę, którą wciąż trzymał w dłoniach, ale zdołał utrzymać się na nogach.

- O, idzie następny, któremu nogi się plączą na widok Lissy - parsknął Jamie Fredericks. - Złudne nadzieje, Steve, Lissa jest nie do zdobycia.

- Naprawdę? - spytał Steve.

Złożył równo narzutę i odłożył ją na sofę. Przez cały czas patrzył Lissie prosto w oczy. Obserwował, jak na jej policzki wypełza zdradliwy rumieniec. Podszedł bliżej.

- To miło z twojej strony, że mnie przykryłaś. Dziękuję. Lissa wzruszyła ramionami.

- Wyglądałaś na... zmarzniętego. Ona wyglądała na rozgrzaną.

- Śniłaś mi się - powiedział, a jej zrobiło się jeszcze goręcej.

Szukając pretekstu, by jej dotknąć, założył jej za ucho kosmyk włosów, który wysunął się z warkocza. Miała gładki, rozpalony policzek. Zadrzała.

- Pewna jesteś, że nie ukrywasz gdzieś głęboko pokładów instynktu macierzyńskiego? - spytał zaczepnym tonem.

- Jestem pewna.

Głos lekko jej zadrzał. Przełknęła głośno ślinę. Steve dotknął jej ust koniuszkiem palca, wyobrażając sobie, że jest to jego język. Chciałby wrócić do swojej fantazji i wcielić ją w życie.

Marzył, by usłyszeć szept Lissy, czuć gorąco jej oddechu, spróbować, jak smakuje jej skóra, wargi, wdychać zapach jej włosów. Chciał...

- Na pewno? - wychrypiął przez ściśnięte gardło. - A jakie instynkty w takim razie kryjesz?

Przez moment, gdy ich spojrzenia się skrzyżowały, myślał, że mu nie odpowie.

- Przede wszystkim instynkt samozachowawczy - wykrztusiła wreszcie i uciekła za kontuar, a po chwili zniknęła na zapleczu, dokładnie zamykając za sobą drzwi.

Lissa siedziała u siebie na łodzi i sączyła kawę. Wiedziała, że powinna zejść na dół i przespać się trochę, by potem zająć się festiwalem. Ale poranek był tak wspaniały, że postanowiła nie marnować go na sen. Ci, którzy wypłynęli wcześniej rano na ryby, długo jeszcze nie wrócą. Była pewna, że Steve jest między nimi.

Słońce świeciło mocno. Bezchmurne niebo odbijało się w wodach zatoki. Postanowiła zostać na pokładzie. Ułożyła się na hamaku, stopy oparła o burłę, na jednym kolanie postawiła filiżankę z kawą.

- To łódź Lissy - usłyszała głos kierownika przystani.

- Ale z niej kapitan - dobiegł ją roześmiany głos, na dźwięk którego odepchnęła się od burty tak gwałtownie, że wylała prawie całą kawę. - No, to się akurat zgadza - powiedział znowu ten sam głos.

Merv też zaczął się śmiać.

- Aha, prawda. Nie ma takiej drugiej jak nasza Lissa. O! - krzyknął szczerze zdziwiony. - Oto i ona we własnej osobie.

Steve Jackson w pełnym świetle dnia był nie mniej atrakcyjny niż nocą. Osłonił sobie dłonią oczy przed słońcem.

- Dzień dobry, Lisso - zaczął Merv. - Możemy wejść na pokład?

Ruszył, nie czekając na odpowiedź. Steve został na pomoście.

- Znasz Steve'a Jacksona? - zapytał Merv Lissę.

- Tak. Spotkaliśmy się. Wybierasz się na ryby, Steve?

- Nie, dziś raczej nie.

- Czemu?

- Muszę odpowiedzieć na to pytanie?

- Nie, oczywiście, że nie. Po prostu myślałam, że przyjechałeś tu pomoczyć wędkę. - Lissa przypomniała sobie, w jakich okolicznościach jej o tym opowiadał. Szybko dodała: - To znaczy... prawie wszyscy nasi goście po to właśnie przyjeżdżają.

- Niewiele spałem ostatniej nocy.

- Naprawdę?

W końcu i tak spał więcej niż ona.

- Tylko się zdrzemnąłem.

- Coś się działo? - zapytał niewinnym tonem Merv.

- Niezupełnie. Po prostu... nie mogłem zasnąć. Zszedłem na dół, żeby poczytać, i zasnąłem w fotelu. Lissa była tak miła, że przykryła mnie kocem.

- To dobrze. - Merv spojrzał na Lissę z aprobatą. - Liss, opowiadałem właśnie Steve'owi o twojej łodzi. Nie wyglądasz na specjalnie zajęta, więc może pokazałabyś mu, cośmy tu ulepszyli.

Lissa otworzyła już usta, by odmówić, ale Merv popatrzył na nią znacząco.

- Larry ma jakieś drobne prace do zrobienia. Obiecałem mu pomóc. Będziemy zajęci z godzinę.

Zdusiła westchnienie. Dobra, Merv, wiadomość odebrana. I co ona powinna teraz zrobić? Co powiedzieć? Aha, ma pokazać Steve'owi łódź. Choć chętnie wyrzuciłaby go za burzę, zmusiła się do uśmiechu. Nie ma wyjścia, trzeba podjąć wyzwanie i przystąpić do gry.

- Zapraszam na pokład, Steve. Masz ochotę na filiżankę kawy?
Cukier, mleko?

- Czarna - powiedział, patrząc jej prosto w oczy. - I słodka.

Lissa nie była w stanie wydusić z siebie odpowiedzi. Steve miał na sobie wyblakłe szorty postrzępione na brzegach. Opalone, silne nogi sugerowały, że wiele godzin spędził na korcie tenisowym lub polu golfowym. Niebieska koszulka polo podkreślała kolor jego oczu, a rozpięty kołnierzyk pozwolił jej dostrzec kępkę złocistych włosów na piersi.

- To ja... pójde po kawę - powiedziała. Chwyciła swój kubek i uciekła na dół. Przez jakieś trzy minuty próbowała przekonać siebie samą, że wcale nie musi uszminkować ust czy upudrować policzków i nosa. Ma tylko nalać kawy do dwóch kubków i iść do Steve'a.

Kiedy miała już wracać na górę, próżność odniosła nad nią zwycięstwo. Rozczesała nawet grzywkę i pociągnęła tuszem rzęsy, choć były tak ciemne z natury, że wcale tego nie potrzebowały. Chciała czuć się pewniej.

Kiedy wróciła, zastała Steve'a rozpartego na płóciennym krzeselku, które sam sobie rozłożył i ustawił bliźutko jej miejsca. Obie stopy oparł o burtę. Patrzył w stronę wejścia do zatoki. Lissa postawiła jego kubek z kawą na stoliku, a on uśmiechnął się w podziękowaniu.

Nagle zdała sobie sprawę, że bardzo trudno jest jej na niego spojrzeć. Nie miała pojęcia, jaka jest tego przyczyna. Powinna tylko starać się być miłą. Powinna go czymś zająć, nie pozwolić mu wrócić do pokoju, zanim Larry upora się ze swoim zadaniem.

- Podziwiałem właśnie ten stary dom, o, tam. - Steve wskazał na duży, pomalowany na brązowo dom z białymi okiennicami, otoczony

zielenią, ulokowany nad samą wodą. Miał własny pomost i przystań. Wokół niego rosło wiele wspaniale utrzymanych drzew. - Wygląda tak, jak powinien wyglądać dom. Lissa usadowiła się na hamaku.

- Tam mieszkałam jako mała dziewczynka. Uniósł brwi.

- Myślałem, że mieszkałaś w zajeździe.

- Moi rodzice się rozwiedli, kiedy miałam dziesięć lat. Wtedy sprzedano dom. Wakacje spędzałam od tego czasu u taty, w mieszkaniu służbowym kierownika zajazdu, na trzecim piętrze. Zajmowałam ten pokój, w którym się na początku zatrzymałeś. Ten, w którym teraz mieszkasz, to był pokój taty.

- Pewnie fajnie było mieszkać w hotelu - powiedział Steve tęsknym, miał nadzieję, głosem.

- Czyżbyś tego nie znał? Powiedziałeś, że twój ojciec ma sieć hoteli. Nigdy w żadnym nie mieszkałeś?

Pokręcił głową i szybko zmienił temat. W takich okolicznościach tylko niepoprawny idiota rozmawiałby o interesach ojca.

- Ładnie ochrzciłaś łódź - powiedział. - „Pani Kapitan”. Właśnie tego się spodziewałem: feminizm na falach.

- To nie ja wymyśliłam nazwę, lecz Maria i Jacinta, siostry Allenda. Wiesz, które? Siedzicie przy jednym stoliku.

Steve potaknął ruchem głowy i łyknął nieco kawy.

- One kupiły tę łódź, zacumowały tutaj, przerobiły z holownika na mieszkanie, po czym stwierdziły, że wcale nie chcą mieszkać na wodzie. Wolą nocować na lądzie, a na ryby jeździć małą motorówką. Łódź przez kilka lat była wystawiona na sprzedaż. Szukałam dla siebie jakiegoś mieszkania i zapłaciłam za nią dosłownie ułamek jej rzeczywistej wartości.

- Więc lubisz łowić z większej łodzi?

- W ogóle nie łowię.

Zabrzmiało to chłodno, choć wcale nie było to jej zamiarem.

- Chyba nie jesteś przeciwna łowieniu ryb? - zaniepokoił się Steve.

- Przepraszam, nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Zresztą, pracuję w miejscu, które istnieje dla tych, którzy przyjeżdżają tu na ryby. Byłabym hipokrytką, potępiając łowienie.

- Ale potępiasz.

Widziała, że nie ma sensu zaprzeczać.

- Łowić ryby do zjedzenia, w rozsądnych granicach - proszę bardzo.

Ale ta żądza złowienia jak największej liczby ryb każdego dnia, bez względu na to, czy się ich potrzebuje, czy nie... To dążenie do tego, by pochwalić się największą rybą, rybą-trofeum... Nie, tego nie potrafię zaakceptować. A już na myśl o zawodach wędkarskich cierpnie mi skóra na plecach. Zachęcanie ludzi, by wyrzucali za burtę niniejszą rybę, jeśli tylko złapią większą, żeby nie przekroczyć ustalonego dziennego limitu, jest po prostu ohydne. Przy takim marnotrawstwie za jakiś czas nie będzie tu żadnych ryb. Chyba, że zaczniemy dbać o nie i ich środowisko. - Lissa przerwała i łyknęła kawę. - Przepraszam - powiedziała po chwili. - Wiem, że to naiwne. Pragnęłabym jednak dać gościom Madrona Cove jakąś alternatywę. Jeśli wszystko pójdzie dobrze - dodała, stukając palcem w burtę - „Pani Kapitan” i ja zaczniemy od przyszłego roku. Chciałabym zabierać grupy fotografów, malarzy, a nawet zwykłych turystów na całodniowe rejsy. Musi być jakaś kontrpropozycja dla zabijania niewinnych stworzeń.

- Zgadzam się z tobą - powiedział Steve. - Jestem zawodowo związany z morzem. Martwię się stanem mórz i oceanów nie mniej niż ty.

- To ty pracujesz? - wyrwało się Lissie, zanim zdążyła ugryźć się w język. Łyknęła kawy, by pokryć zmieszanie. Zakrztusiła się. Znowu upiła łyk kawy. Jeszcze gorzej.

Steve roześmiał się, wstał, podszedł do niej i klepnął ją po plecach.

- Pewnie - powiedział między jej jednym a drugim kaszlnięciem. - A co, myślałaś, że nic nie robię?

- Miałam na myśli to, że pracujesz na morzu.

- Jestem nurkiem głębinowym. Waśnie skończył mi się kontrakt na Antarktyce. Pracowałem dla zespołu naukowego prowadzącego badania na Morzu Rossa. Zaczęliśmy w styczniu, a skończyliśmy tydzień temu.

- To musiało być, hm... zimne.

Lisso, cudownie! Jaką jesteś błyskotliwą rozmówczynią!

- Było zimno. I nikt nie proponował mi gorącego mleka ani przykrycia na noc.

- Trzeba było jechać do jednego z hoteli ojca. Tam by o ciebie zadbali.

- Raczej zamęczyli na śmierć - powiedział Steve z kwaśną miną. - Dlatego nigdy tam nie jeździmy.

- My?

- Moja starsza siostra i młodszy brat. Ojciec jest nami bardzo rozczarowany, bo żadne z nas nie poszło w jego ślady. Moja siostra jest lekarką, brat - maklerem giełdowym, a ja rozbijam się po świecie na różnych łodziach.

To jej przypomniało, po co Steve tu przyszedł. Przynajmniej oficjalnie.

- Chciałbyś... chciałbyś, żebym pokazała ci łódź? Uśmiechnął się tak, że poczuła mrowienie na plecach.

- Pewnie. Pragnę zobaczyć, jak mieszkaś.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Steve szedł za Lissą po schodkach, wdychając woń dobrze wywoskowanego drewna zmieszaną ze śladami oparów oleju napędowego i z czymś jeszcze, czego nie potrafił rozpoznać. Lubił typowe zapachy łodzi, ale tutaj było coś więcej. Delikatny, kobiecy aromat. Mieszkała tu kobieta. Rozpylała swoje perfumy, paliła pachnące świece, robiła sobie makijaż, kąpała się w solach zapachowych.

A właściwie nie, nie tak. Tu nie chodziło o jakąś tam kobietę. O Lissę. Lissę z grubym warkoczem. Lissę ubraną dziś w króciutkie szorty, ukazujące jej zgrabne, opalone nogi.

Właśnie te nogi zwieszały się nad jego głową z sufitu. Ich gładkiej skóry dotykał. Był tego niemal pewien. Zaprzagnął nagle przesunąć dłońią po tych jedwabistych wspaniałościach, od biodra do kostki. Wystarczyłaby chwila i już wiedziałby na pewno. Ale nawet gdyby nie miał racji, w co wątpił, nie miałoby to wielkiego znaczenia. Jeśli będzie mu wolno pieścić nogi Lissy Wilkins, chętnie zapomni o tamtej kobiecie z tatuażem.

Zaczął szybciej oddychać, oczy mu się zamglily i już zastanawiał się nad ucieczką, gdy Lissa odwróciła się do niego i gestem wskazała na wpółotwarte drzwi, które mijali w tym momencie. Ich spojrzenia się spotkały. Nie pomogło to Steve'owi odzyskać utraconego panowania nad sobą.

- Tu są cztery dwuosobowe kajuty - powiedziała bezlitośnie Lissa - a pod nimi maszynownia.

Poprowadziła go wąskim korytarzykiem, otworzyła jakieś drzwi i wpuściła go do środka. Kabina była niewielka, częściowo usytuowana poniżej linii wody. Znajdowały się w niej dwie koje, leżące jedna nad drugą, szafki wbudowane w ściany, pod sufitem bulaj i świetlik, którym można wpuścić trochę powietrza.

- Pozostałe trzy są dokładnie takie same. - Wracając do salonu, Lissa minęła Stevena, który po chwili ruszył za nią.

- Czyż to nie prawdziwa piękność? - Lissa była wyraźnie dumna ze swojej łodzi.

- Najprawdziwsza - odpowiedział Steven, wpatrując się w skaczące po twarzy i ramionach Lissy refleksy światła odbitego od powierzchni wody. Dzieląca ich odległość całej kabiny pozwoliła mu uspokoić nieco oddech. Siłą woli oderwał wzrok od dziewczyny i przesunął palcem po drewnianej boazerii.

- Wspaniale wykończona - dodał.

- Jak również przytulna i przestronna. Niezbyt dobrze się czuję w ciasnych pokoikach - powiedziała. - I mimo jej sporych rozmiarów „Pani Kapitan” jest posłuszna sterowi.

Łódź naprawdę była spora. Musiało się na niej zupełnie wygodnie żyć. W salonie było tyle miejsca, że spokojnie mieściły się w nim dwie wiklinowe rozłożyste sofy, kilka krzeseł i dziwnie tu nie pasujący skórzany fotel klubowy. Steve'a prześladowało wyobrażenie starszego mężczyzny, którego widział z Lissą, siedzącego właśnie w tym fotelu. Stolik, wyglądający na ciężki i solidnie zbudowany, okazał się wykonany ze starej pokrywy luku. Stał między sofami. Z drewnianego sufitu pobejcowanego

na ciemno zwieszały się mosiężne lampy. Ściany zdobiły również mosiężne kinkiety. Regały były szczelnie wypełnione książkami. Każdą półkę wykończono listewką, która nie pozwalała tomom spadać na podłogę w czasie burzliwej pogody. Naprzeciwko regałów Lissa ustawiła dwie szafki, które mieściły telewizor i magnetowid. Wszystko w tym pomieszczeniu było proste, zwarte, świetnie wykonane i wykończone w najdrobniejszych szczegółach,

- Przytulisko z dala od domu.

- Mylisz się - powiedziała z uśmiechem, muskając koniuszkami palców drewnianą komódkę ozdobioną intarsjowanym blatem. Wzór przedstawiał różę wiatrów. - Prawdziwy dom. Pierwszy i jedyny, jaki kiedykolwiek miałam.

Mówiła to z takim żarem, że uwierzył jej bez zastrzeżeń. Musiała kochać to miejsce.

A on? Czy miał dom? Jak daleko sięgał pamięcią, nosił swój dom niczym ślimak zawsze ze sobą. Widział, ile pracy włożyła Lissa, żeby uczynić to miejsce własnym, i zdał sobie nagle sprawę, jak wiele traci.

Przechodząc do części kuchennej, Steve musiał zrobić nagły unik, by nie zderzyć się czołowo z wiszącą lampą. Stąd można było wejść na górę prosto na pomost sternika. Promienie słońca nadawały złocisty kolor schodom wykonanym ze ściemniałego drewna orzechowego, migotały na mosiężnej poręczy. W powietrzu tańczyły pyłki kurzu.

Steve chętnie zobaczyłby pulpit sterowniczy i zadał kilka pytań o silnik. Zamarzyło mu się, że sam go zapuszcza, wypływa z przystani i czuje, jak piętnastometrowa łódź reaguje na prądy, wiatry, jak posłusznie poddaje się sterowi. Prawie słyszał dudnienie silników Diesla na pełnych

obrotach, czuł ich delikatne wibrowanie. Dobry silnik dobrej łodzi w rękach dobrego sternika to jak kochająca kobieta w ramionach mężczyzny.

- Chcesz jeszcze kawy? - przerwała potok jego myśli Lissa.

Szybko podsunął jej kubek. Napełniła także swój, po czym odwróciła się w stronę otwartych drzwi od strony brzegu.

- Ta kajuta jest większa niż te na rufie. Służy mi teraz jako gabinet.

- A gdzie śpisz?

- Dalej - odpowiedziała. - Pod mostkiem kapitańskim.

Z tonu jej głosu wywnioskował, że tego pokoju nie zamierza mu pokazać.

W gabinecie dostrzegł sporo rysunków, z których część już wcześniej oglądał. Obejrzał każdy z nich dokładnie. Kiedy je studiował szczególnie po szczególe, odruchowo wziął sobie precelka z mosiężnej misy.

Lissa uśmiechnęła się rozbawiona.

- Och, przepraszam. Powinienem być poczekać, aż mnie poczęstujesz.

- Nie ma sprawy - powiedziała, sięgając do misy. - Właśnie po to tu są.

A niech to! Do jej dolnej wargi przykleił się kryształek soli. Steve nie mógł oderwać oczu od tego kuszącego widoku.

- Wciąż liczę na wynajem stoiska - powiedział w końcu. - Pamiętasz, chcę odnaleźć Kopciuszka.

Skłamał, bo był już na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewien, kto jest jego „Kopciuszkiem”.

- Przykro mi, ale muszę odmówić. Są zarezerwowane od miesięcy.

Jeśli przydzielili mu stragan, będzie to oznaczało, że Steve zostanie aż do festiwalu. Nie chciała tego ani ona, ani jej ojciec, ani inni członkowie komitetu.

- Poza tym pewnie już cię tu nie będzie.

- Skąd wiesz? - zapytał, wchodząc za nią do kuchni. - Nie mam zamiaru nigdzie wyjeżdżać przed końcem mojego urlopu.

- No... tak. Pewnie. Chyba... chyba zapomniałam, na jak długo zamówiłeś pokój. - Jej śmiech brzmiał fałszywie nawet dla niej samej. - Wiesz, ludzie przyjeżdżają i wyjeżdżają. Trudno spamiętać, kto kiedy tutaj będzie.

Spojrzał na nią podejrzliwie.

- Ja, w każdym razie, będę tutaj... wtedy. Więc może byś mi jednak wynajęła jakieś stoisko? Jedno z tych, za które się nie płaci, a całe zarobione pieniądze oddaje na fundusz? Co ty na to? Podoba mi się Madrona Cove. Chętnie przyczynię się choć odrobinę do rozwoju miasta.

- Te stoiska też są dawno zamówione. Ale polecam ci jedno z nich. Na pewno ci się spodoba i jeśli chcesz wzbogacić nasz fundusz, możesz zostawić tam trochę pieniędzy.

Oparł się o ścianę.

- Tak? Co to za stoisko?

- Stragan Pocałunków. Prowadzony przez Caroline Newson.

- Caroline Newson?

- To ta, przez którą wyleciałeś z „Chuckles”. Jej stoisko jest zawsze oblegane - dodała Lissa. - Tylko dwa dolary za pocałunek. Całe pieniądze idą na fundusz.

- Wolałbym całować się z tobą.

- Lepiej się zastanów. Caroline podobno jest mistrzynią.

- A ty?

Lissa przeszła z powrotem do salonu, w którym było więcej miejsca, więc nie musiała stać tak blisko Steve'a. Najwyższy czas skończyć tę rozmowę. Chyba Larry uporał się już z pracami na strychu.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Pozwól ocenić komuś innemu.

Pokręciła głową. Miała nadzieję, że nie zauważył oblewającego ją rumieńca.

- Gdybyś ty prowadziła Stragan Pocałunków - powiedział Steve, muskając palcem jej ucho - wykupiłbym cały twój czas.

Zmusiła się do śmiechu.

- Myślę, że po prostu boisz się Jase'a. Ale nie martw się. Będzie zajęty przez cały festiwal. Prowadzi Arenę Potyczek.

- Wcale się nie martwię - powiedział, obejmując dłonią jej warkocz. -
A ty?

- Ja też. Od zmartwień robią się zmarszczki.

Całe ciało Lissy drżało pod dotykiem dłoni Stevena. Coś jej podpowiadało, że powinna to przerwać. Natychmiast. Dopóki jest w stanie. Ale z drugiej strony...

Steve gładził ją teraz kciukiem po twarzy. Wstrząsnął nią głęboki dreszcz.

- Chyba odniosłaś sukces. Zmarszczek nie za wiele. Jak ci się udaje zapobiegać zmartwieniom?

- Trzymam się po prostu z dala od czarujących uwodzicieli. A pan, panie Jackson, jest bardzo czarujący i bardzo uwodzicielski. I, jak wszyscy inni z tej kategorii, stanowi pan dla mnie zagrożenie.

- Co też pani opowiada?

Położył ręce na jej ramionach i przyciągnął ją bliżej. Ich ciała prawie się dotykały. Lissę ogarnęła fala gorąca. Oparła dłonie o jego tors.

- Czemu to robisz? - zapytała, zaskoczona przytłumionym tonem własnego głosu.

- Czemu? Z dwóch powodów. Po pierwsze - chcę cię przekonać, że nie każdy czarujący uwodziciel jest niebezpieczny.

Odepchnęła go lekko.

- Ciekawa jestem, co zamierzasz zrobić, żebym w to uwierzyła? - zapytała prawie normalnym głosem.

- Zacząłbym od pocałunku.

- Według mnie to bardzo, bardzo niebezpieczne posunięcie.

- Dla ciebie czy dla mnie?

Udała, że zastanawia się nad odpowiedzią. Ileż to czasu minęło od chwili, gdy prowadziła taki flirt? Kiedyś była w tym niezła, lubiła to nawet.

Gorzej z efektami - wciąż przytrafiały się jej miłosne zawody. Więcej na to nie pozwoli. Miała prawie trzydzieści dwa lata. Umie sobie z tym poradzić.

- Chyba i dla ciebie, i dla mnie - powiedziała w końcu.

- Tak myślisz? - kontynuował z błyskiem w oku Steve. - Nie czuję zagrożenia z twojej strony. A w każdym razie nie tak duże, bym bał się zaryzykować.

- Nie? Więc co o mnie myślisz?

- Jesteś kobietą, którą bardzo, najbardziej na świecie chcę teraz pocałować.

- Nie można mieć wszystkiego.

- Nawet jeśli jest się czarującym uwodzicielem?
- Zwłaszcza jeśli jest się czarującym uwodzicielem.
- A ty? Czego ty chcesz?

Lissa spuściła wzrok, żeby się nie zdradzić.

- No powiedz - ponaglił ją, pocierając jednocześnie torsem o jej ciało.

Była zła, że po powrocie z pracy i prysznicu nie nałożyła stanika. Steve znowu się poruszył. Nie. Powinna być uczciwa przynajmniej przed samą sobą. Wcale nie jest zła, że nie ma na sobie stanika. Przeciwnie. Rozkoszowała się dotykiem Stevena, czuła, jak rośnie w niej pożądanie. Kołysanie łodzi sprawiło, że miała wrażenie, jakby byli gdzieś daleko od świata, od innych ludzi.

- Tego? - zapytał Steve, przesuwając dłoń w dół jej pleców i przyciągając ją do siebie.

- Nie. Nie chcę tego. Kozucha-kłameczucha, powiedziała sobie w myślach.

- Nie pytałem, czego nie chcesz - odparł schrypniętym głosem. - Interesuje mnie, czego chcesz.

- Naprawdę mam ci to powiedzieć? - Teraz, kiedy prawdopodobnie było już za późno, próbowała rozładować atmosferę. - I zniszczyć tajemnicę, która może mnie otaczać? Kobieta nie powinna o wszystkim mówić, nie uważasz?

- Niekoniecznie. - Głos Stevena był niepokojąco niski. - I nie zawsze. Na przykład, nie powinna ukrywać niczego przed mężczyzną, który dostrzega prawdę w jej oczach.

- A co to za prawda?

- Wszystkie twoje sekrety. Najgłębiej ukrywane pragnienia. Fantazje.

Steve schylił głowę, czuła jego gorący oddech na swoich wargach.

- Zdradź mi swoje sekrety. Zrób to, zanim cię pocałuję, bo wtedy dowiem się wszystkiego sam.

Położyła trzy palce na jego ustach.

- Miały być dwa powody. Co z drugim?

Steve rozchylił wargi. Zanim Lissa cofnęła rękę, zdążył tylko musnąć jej palce koniuszkiem języka. Ale i to już wystarczyło, by napięcie między nimi wzrosło jeszcze bardziej. Serce Lissy biło szybko i mocno. Miała wrażenie, że zaraz wyskoczy z jej piersi.

- Interesuje mnie drugi powód, Jackson.

- Bo masz sól na wardze.

Zlizwała kryształek i uśmiechnęła się figlarnie.

- Już po wszystkim - powiedziała. - Ale gdybyś cierpiał na niedobór soli, załatwię ci jeszcze trochę precelków.

Skrzywił się.

- Nie o niedobór soli idzie. Spędziłem pół roku na Antarktyce z samymi mężczyznami.

Lissa zachichotała. Steve zepsuł nastrój. I bardzo dobrze. Mogła przynajmniej oddychać w miarę normalnie.

- Aha, więc to nie chodzi o mnie. Każda by się nadała. Radzę ci poczekać na festiwal i iść do Caroline.

Steve przyciągnął ją do siebie. Serce Lissy znowu zatrzepotało w piersi. Uświadomiła sobie, że nastrój wcale się nie zmienił, wprost przeciwnie.

- Chodzi jak najbardziej o ciebie. Tylko o ciebie. Jego spojrzenie i uścisk potwierdzały, że mówi prawdę.

- Więc? - Uniósł głowę. - Czekam.

- Czekasz?

Lissa była na siebie wściekła za ten łamiący się głos. Tak bardzo chciała, żeby Steven nie dostrzegł tego, co zapewne łatwo może odczytać z jej twarzy. Żeby nie zauważył rumieńca, przyspieszonego oddechu, dreszczy wstrząsających co chwila jej ciałem.

Czcie nadzieje. Zresztą tak naprawdę chciała, aby napięcie między nimi zwiększyło się powyżej granicy bezpieczeństwa.

- Na co czekasz? - wyszeptała.

Steve przymknął oczy i przesunął opuszką palca wzdłuż jej dolnej wargi.

- Na zielone światło. Żebym mógł zrobić to, na co mam ochotę od chwili, kiedy cię pierwszy raz zobaczyłem.

- Pocałowałeś mnie wtedy, jeśli dobrze pamiętam.

- Pamiętasz dobrze, ale pocałowałem cię wtedy niedobrze.

Popatrzyła mu w oczy. Miał bardzo poważną minę.

- Nie wyglądasz na faceta, który zwykle prosi o pozwolenie.

- Bo zwykle tego nie robię - odpowiedział szybko. - Ale to być może nie jest zwykła sytuacja.

Dla niej na pewno nie była!

- Jeśli szukasz czegoś więcej niż pocałunek, lepiej poszukaj gdzie indziej. To wszystko, co proponuję.

- Ale proponujesz?

- Nie będę udawać, że nie mam na to ochoty. Musnął wargami jej usta.

- Na pewno?

- Tak, proszę pana.

- No dobra. Biorę, co mi dają. Wobec tego tylko pocałunek.

- Ale nie próbuj brać nic więcej. Pamiętaj, że nie jesteśmy tu tak zupełnie sami, jakby się wydawało.

Steve zagryzł wargę.

- Obrażasz mnie.

- Nie. Tylko ostrzegam - odpowiedziała. - Jakoś mi się zdaje, że nie zwykłeś powściągać własnych... żąd.

- No wiesz! A sześć miesięcy na morzu to co?

- To się nie liczy. Nie byłeś wystawiony na pokusę.

- Sądzisz, że jesteś aż taka kusząca?

Kciukami gładziła jego tors w wycięciu koszuli. Posuwała się coraz wyżej, do brody, aż w końcu zatrzymała dłoń na karku.

- Zaraz przestanę, jeśli wciąż będziesz gadał i mnie nie pocałujesz.

Po chrapliwym tonie jego głosu poznała, że strzał był celny.

- Jak mam cię pocałować? - zapytał, przesuwając palcem po jej wardze. - Czy... tak?

Po chwili uniósł głowę, jakby chciał ocenić reakcję Lissy. Miała zamknięte oczy i urwany oddech. Pocałował ją drugi raz, mocniej.

- A może tak? - zapytał.

- Mmm - zamruczała, nie otwierając oczu.

- Albo może jeszcze inaczej - wyszeptał.

Dźwięk, jaki z siebie wydała, nie przypominał artykułowanego słowa. A jednak Steve wyczuł jej zgodę. Czuł to, czuł jej reakcję na pocałunek. Choć sama nie zdawała sobie sprawy, zgadzała się prawdopodobnie na o wiele więcej. Ale nie potrafiła o tym myśleć.

Zawirowało jej w głowie, kiedy Steve oderwał wargi od jej ust. Zrobił to pewnie, zdecydowanie, jak mistrz. Lissa nawet nie przypuszczała,

że można tak całować. Jego wargi były twarde, gorące, suche. A język wilgotny, nie mniej twardy i gorący.

Nic nie mogło powstrzymać jej od poddania się tym pocałunkom. Głaskała Stevena po szyi, uszach, karku. Palce zanurzyła w jego włosy.

Czuła się jak we śnie. Pocałunek zaspokoił głód jej duszy, nawet jeśli zaostrzył apetyt ciała.

Steve jęknął pod wpływem pieszczot. Pocałował Lisę jeszcze mocniej. Zaczął rozplatać jej warkocz, masować skórę głowy. Przytuliła się do niego. Pragnęła go i wiedziała na pewno, że i on jej chce.

Steve położył dłoń na jej pośladku, dokładnie tam, gdzie miała tatuaż, którego nigdy nie zamierzała mu pokazać. Teraz wiedziała już, że Steve zobaczy i dotknie dużo więcej niż ten niewielki znak. Pragnęła tylko, żeby ją uniósł i położył na sofie. Jej ręce wędrowały w górę i w dół jego pleców.

- Steve - wymamrotała.

Podciągnął do góry jej bluzkę i położył swoje duże, ciepłe dłonie na jej piersiach. Chciała jeszcze więcej. Marzyła, aby czuć ciężar i gorąco jego ciała, jego usta tam, gdzie teraz trzymał dłonie.

- Proszę - wyszeptała.

- Pragnę cię - powiedział tonem, od którego przeszył ją dreszcz, po czym objął wargami jej sutek. - Słodka, gorąca... Lissa.

Powoli osuwali się coraz niżej. Steve nie przestawał obsypywać jej pocałunkami. W końcu Lissa poczuła pod sobą sofę. Pociągnęła Steve'a za sobą i...

Sofa przewróciła się do tyłu, poduszki poleciały na wszystkie strony. Któreś z nich kopnęło dwa zapomniane kubki z zimną kawą, rozlewając ją naokoło. Jakby tego było mało, Lissa uderzyła łokciem w kant stolika.

Przetoczyła się po podłodze, jęcząc z bólu. W oczach miała łzy. Zwinęła się w kłębek.

- Co się stało?

Steve uniósł ją do pozycji siedzącej. Otworzyła oczy i popatrzyła na niego nie widzącym wzrokiem. Nie wypuszczając jej z objęć, Steve oglądał ją ze wszystkich stron.

- Co się stało? - powtórzył. - Co ja zrobiłem?

- Ty nic. Sofa się przewróciła i uderzyłam łokciem w stół.

- Wylądowaliśmy na podłodze. Tego nie planowałem - powiedział ponuro Steve.

- Ja też nie. Steve zeszywniał.

- Oho, kłopoty na horyzoncie.

- O czym ty gadasz?

- O nim. - Wykonał nieznaczny ruch głowy.

Liss popatrzyła we wskazanym kierunku i zobaczyła swojego ojca, który stał na ostatnim stopniu zejściówki. Gapił się na nich kompletnie zdezorientowany.

- Skąd się tutaj wzięłeś? - stęknęła Lissa, wstając. Zrobiła półobrót, unosząc sofę, i kopnęła Steve'a tak mocno, że rozpląszczył się na podłodze. Stała przed ojcem.

- Nie mógłbyś, cholera, pukać?

- Przepraszam - wydusił Frank.

Steve zdołał w tym czasie dźwignąć się na nogi i wcisnął się między Lisę i starszego mężczyznę. Chwyił ją za rękę.

- Puszczaj! - krzyknęła, odskakując w bok. Poślizgnęła się na jednej z walających się po podłodze poduszek i wylądowała w fotelu.

- Ja też przepraszam - powiedział Steve, przeczesując palcami włosy.
- To miał być tylko pocałunek.

Do Lissy dopiero po chwili dotarło, że Steve przeprasza nie ją, a jej ojca.

- Nie ma za co. - Frank machnął ręką. - Znam swoją córkę. Nigdy nie potrafiła się oprzeć przystojnemu facetowi. Ale, oczywiście, nie ma również takiego faceta, który oparłby się jej. Więc chyba wszystko się wyrównuje. W jej przypadku historia stale się powtarza. Zresztą, moim zdaniem, najwyższy czas, żeby się znowu powtórzyła.

- Tato!

W tej samej sekundzie Steve powtórzył jak echo za Frankiem:

- Córkę?
- Pewnie, to moja córka. A coś pan myślał?
- Steve, zamknij się lepiej - przerwała Lissa. - Tato, co ty tutaj robisz?

- Co myślałem? - mówił dalej Steve, jakby nie dotarły do niego słowa Lissy. - A co miałem myśleć, kiedy zobaczyłem ją w barze, siedzącą panu na kolanach? Kiedy wyszliście razem objęci? Jak sądzicie, co mi przyszło do głowy?

Twarz Franka rozjaśniła się w uśmiechu.

- To dla mnie komplement - powiedział, wyciągając rękę do Steve'a.
- Dla mnie nie - wtrąciła się Lissa, ale ojciec nadal ją ignorował.
- Frank Wilkins - przedstawił się.
- Steve Jackson.
- Tak, wiem. Widziałem, jak wchodziłeś na pokład, i pomyślałem, że wpadnę i zawrę znajomość. Potem usłyszałem hałas i wrzaski mojej córki. Postanowiłem wejść i sprawdzić, kto kogo atakuje.

- Tato!

- Mieliśmy mały wypadek, to wszystko - wyjaśnił Steve.

Lissa przyglądała się ojcu, ciekawa, jak zachowa się w takiej sytuacji. W jego oczach tańczyły szelmowskie iskierki. Na chwilę zatrzymał spojrzenie na potarganych włosach córki. Dokładnie wiedział, co działo się w salonie przed jego przyjściem.

- Następnym razem znajdźcie sobie bardziej stabilny mebel - zasugerował.

Nie powiedział „na przykład łóżko”, ale Lissa wiedziała, że właśnie to miał na końcu języka. Steve zresztą też o tym myślał.

- Obiecuję - przyrzekł z uśmiechem.

- A ja nie - rzuciła Lissa. - Bo nie będzie następnego razu.

- Nigdy bym nie skrzywdził Lissy - zadeklarował się Steve.

- Ale ona może zrobić krzywdę tobie. Z nią trzeba uważać, synu - odpowiedział Frank.

- Taki miałem zamiar, ale chyba nic z tego. Frank pokiwał głową.

- Wiem, co masz na myśli. Właśnie to mi się przytrafiło z matką Lissy. Wystarczyło pół minuty i byłem stracony.

- Zdarza się - powiedział Steve.

- Może byście przestali mnie obgadywać, jakby mnie tutaj nie było?

Lissa pozbierała poduszki i ułożyła je z powrotem na sofie. Usiadła tak gwałtownie, że sofa przesunęła się pół metra do tyłu. Lissa skrzyżowała ręce na piersiach i popatrzyła gniewnie na dwóch mężczyzn.

- Może byście poszli zawierać znajomość gdzie indziej. Mam dużo pracy na dzisiaj. I muszę się trochę przespać.

Frank rozsiadł się w skórzanym fotelu. Nie wyglądał na kogoś, kto zamierza za chwilę wyjść.

- Lissa za ciężko pracuje. - Gestem ręki wskazał Steve'owi, by usiadł na sąsiednim fotelu.

Zamiast tego Steve usiadł obok Lissy na sofie. Odsunęła się najdalej, jak to było możliwe.

- O czym to mówiliśmy? - zagaił Steve. - A, o festiwalu.

- Siedział rozluźniony, pochylony do przodu, z rękami swobodnie leżącymi na kolanach, - Jeśli dobrze zrozumiałem, planujesz konkurs na strzały z kuszy - zwrócił się do Franka. - Brzmi ciekawie. Nieźle kiedyś strzelałem. Może mógłbym nauczyć czegoś dzieciaki.

- Pewnie, czemu nie - odpowiedział Frank bez wahania.

- Temu, że jego tu nie będzie w czasie festiwalu, tato! - krzyknęła Lissa.

Steve posłał jej zdziwione spojrzenie.

- Lissa przygotowuje dla mnie prawdziwy kostium banity - kontynuował nie zrażony Frank. - Chyba jestem zbyt gruby w pasie jak na Robin Hooda, więc może lepiej przebiorę się za braciszka Tucka. - Przesunął dłonią po kędzierzawych włosach.

- Będę musiał to zgolić, żeby mieć tonsurę.

- Czy ja wiem? Zresztą, nie znam się na tym. Ale gdybyś potrzebował pomocy w kwestii kostiumu, to mogę cię skontaktować z moją matką. Kolekcjonuje stare meble i stroje. Raczej nie będzie miała nic średniowiecznego, ale poda jakieś adresy internetowe, gdzie można zdobyć garść informacji.

- Dzięki, to miłe z twojej strony, synu. Nie odmawia się takiej propozycji.

- Tato...

- Co mógłbym jeszcze zrobić? - zapytał Steve. - Poza trenowaniem strzelców?

- Zastanówmy się. Myślę, że byłby z ciebie niezły Robin Hood. Co powiesz na zielone rajstopy i...?

- Wybijcie to sobie z głowy - przerwała Lissa, wstając. - Steve jest gościem. Nawet jeśli jeszcze tu będzie w czasie festiwalu, ma się bawić, a nie pracować.

- Melisso - powiedział Frank do córki takim tonem, jakby miała znowu cztery latka - nie wtrącaj się, kochanie. - Po czym zwrócił się znowu do Steve'a: - Więc jak? Zgadzasz się?

- Zgadzam się.

- Świetnie - powiedziała Lissa - To może posiedźcie tu razem i przedyskutujcie kwestię zielonych rajstop. Bo ja mam co innego do roboty. Tato, zamknij, proszę, drzwi za Steve'em. Frank nie ruszył się z miejsca.

- Czy to znaczy, że mam się wynieść i zabrać ze sobą twojego chłopaka?

- On nie jest moim chłopakiem. Ja już nie mieszkam z chłopakami, tato - wysyczała przez zaciśnięte zęby. - Nie chcę już ich mieć. Dajcie mi spokój i pozwólcie zająć się tym, co powinnam robić. Zrozumiano?

Zamierzała wyjść z godnością i trzasnąć drzwiami. Poślizgnęła się jednak na magazynie leżącym na podłodze i pojechała na nim prawie do kuchni.

Żaden z mężczyzn się nie zaśmiał. Steve pomógł Lissie wstać i uśmiechnął się ciepło, patrząc jej prosto w oczy.

- Do zobaczenia później.

- Do zobaczenia nigdy - syknęła i posłała mu gniewne spojrzenie. Nagle uświadomiła sobie, że zachowuje się jak dwunastolatka.

Było już za późno, żeby cofnąć słowa. Co za dzień.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Steve otworzył boczne drzwi do zajazdu i wszedł na palcach do środka. Dochodziła trzecia nad ranem. Wszyscy spali. Spędził wieczór na jachcie, zaproszony przez sympatyczną parę, którą poznał w zajeździe. Nowi znajomi kończyli właśnie podróż dookoła świata, więc mieli sporo do opowiadania. Za każdym razem, gdy zbierał się do wyjścia, prosili go, by został dłużej, i otwierali kolejną butelkę wina.

Przez ostatnie kilka godzin już nie pił, ale nadal słuchał opowieści. Nie był specjalnie śpiący, kiedy w końcu zszedł z łodzi, więc wybrał się na spacer. Rozkoszował się ciszą, łagodnym szumem wiatru w gałęziach drzew i widokiem gwiazdzistego nieba. Wiedział, że o takiej godzinie i po dniu spędzonym z dziećmi na treningu powinien być zmęczony, ale nie był. Czuł się tak, jakby miał się nigdy nie kłaść. Opanowały go wspomnienia tych szalonych chwil, które spędził z Lissą. Może właśnie, dlatego tak desperacko szukał sobie zajęć, żeby nie myśleć o niej.

Ale teraz był sam.

Dokładnie zamknął za sobą drzwi. Kiedy się odwrócił, zobaczył odbłask lampy w sali klubowej. W jej świetle ciemne włosy Lissy połyskiwały rudawo. Na kolanach miała otwartą książkę, ale wzrok

utkwiała w jakimś punkcie przed sobą. Kiedy zobaczyła stojącego w drzwiach Steve'a, wstała i ruszyła w jego stronę.

Miała na sobie krótszą niż zwykle spódnicę i bluzkę bez rękawów. Była boso, jej warkocz trochę się rozluźnił. W oczach płonął żar, który zdradzał jej pragnienia. Steve poczuł rosnący ucisk w gardle. Od porannych wypadków starał się unikać Lissy. Oboje musieli trochę od siebie odpocząć.

- Cześć - powiedziała stłumionym głosem.

- Jesteś bardzo zajęta? Pokręciła głową.

- Nie powinnaś być o tej porze w łóżku?

Chciał dać jej pretekst do ucieczki, jeśli o to właśnie chodziło. Ale wszystko w nim buntowało się przeciwko temu.

- Spałam trochę. Podszedł bliżej.

- I co?

Widział, jak Lissa z trudem przełyka ślinę.

- I... obudziłam się. Późno wróciłeś. Powiedział jej o wizycie na łodzi.

- A kiedy się z nimi pożegnałem, poszedłem na spacer i... myślałem.

- Tak?

- Chyba powinniśmy porozmawiać.

Lissa przez dłuższą chwilę wpatrywała się w niego z ogromną intensywnością. Bez trudu odczytał z jej twarzy targające nią emocje. Wyciągnął do niej rękę.

- Pójdiesz ze mną? - zapytał.

- Dokąd?

- Tam, gdzie sobie siedziałaś, zanim wszedłem. Trochę komfortu w czasie rozmowy nam nie zaszkodzi.

Lissa odetchnęła z wyraźną ulgą. Zastanawiał się, jak by zareagowała, gdyby zaprosił ją do swojego pokoju. Nadal rozważał tę ewentualność, ale ona skrzyżowała ręce na piersiach, uniosła wysoko głowę i stała się znowu tą Lissą, którą tak dobrze znał. Pewną siebie i dowcipną.

- No jasne - przyznała. - Masz ochotę na coś do picia?

- Myślałem, że bar już dawno zamknięty.

- Chyba mogę podać jakieś zimne napoje albo kawę.

- A gorące mleko?

- Jeśli bardzo ci na tym zależy...

- Wolę coca-cole.

- Nic z tego! Przecież powiedziałeś, że chcesz porozmawiać.

Spojrzał na nią zbity z tropu.

- A nie możemy rozmawiać, popijając colę?

- Nic nie mówiłeś o coli. Powiedziałeś, że wolisz pocałunek.

- Bzdura!

Steve próbował odtworzyć w głowie własne słowa. Zaczynał wątpić w przytomność swojego umysłu. Czyżby to, co myślał, cisnęło mu się wbrew jego woli na usta?

- Eee, to twoja wyobraźnia. Może usłyszałaś to, co chciałaś usłyszeć.

Lissa wynurzyła się właśnie zza baru i wcisnęła mu w rękę lodowatą puszkę napoju. Dla siebie wzięła butelkę soku pomarańczowego.

- Usłyszałam tylko to, co powiedziałeś. Jeśli komuś tutaj zdarzyła się freudowska pomyłka, to tobie, nie mnie. Wyjaśnijmy coś sobie, zanim usiadziemy. Albo rozmowa, albo łóżko.

Wybuchnął głośnym śmiechem, widząc jej przerażone spojrzenie. Kiedy dotarło do niej, co powiedziała, przykryła sobie usta dłonią.

- Aha, freudowskie pomyłki! - zadrwił Steve. - Ale jeśli mogę wybierać, to decyduję się na łóżko. Zawsze. Kiedy tylko chcesz.

- Dosyć tego - ucięła, ale zaraz zniszczyła efekt, parszając śmiechem.

- Pamiętasz, co się stało rano?

- Nigdy tego nie zapomnę. - Westchnął ciężko. - A ty?

- Oczywiście, że tak. - Włączyła lampę stojącą obok fotela, na którym znalazła kiedyś śpiącego Steve'a. - To był tylko pocałunek. I więcej się nie powtórzy.

- Aha - mruknął, zamykając ją w swoich ramionach. - Jeśli to był tylko pocałunek, to co ci szkodzi go powtórzyć? Nie było ci ani odrobinę przyjemnie?

Lissa delikatnie wysunęła się z jego objęć i usiadła na sofie.

- Chyba nie ma sensu o tym rozmawiać, nie uważasz? Oczywiście, że to było przyjemne. Ale to jeszcze nie znaczy, że zamierzam pozwolić, by zdarzyło się jeszcze raz.

Steve usiadł gwałtownie.

- Więc sama ustalasz wszystkie zasady, podejmujesz decyzje?

- Tak jest lepiej. - Odstawiła butelkę z sokiem na stolik. Steve przesunął zimną puszką po czole.

- Czemu?

- Bo wydaje mi się, że jestem rozsądniejsza niż ty. - Uśmiechnęła się.

- I nie spędziłam sześciu miesięcy na Antarktyce.

Postawił puszkę na kolanach.

- Twój tato powiedział mi, że odkąd tu przyjechałaś dwa lata temu, nie byłaś ani razu na randce.

- Obgadywaliście mnie? - krzyknęła, zrywając się na równe nogi.

- On mówił, ja słuchałem.

W oczach Lissy błysnął gniew.

- Nie miał prawa. I ty też. Moje życie to...

- ...moja sprawa - dokończył za nią Steve. - Nie ma powodu do złości. Twój ojciec ugryzł się w język, jak tylko powiedział o tych randkach. Najwyraźniej zdał sobie sprawę, że nie powinien o tym mówić. Choć oczywiście mogło przerwać jego opowieść przybycie jakichś trzech setek dzieciaków od ośmiu do siedemnastu lat, każde z kuszą i kołczanem strzał.

Lissa roześmiała się serdecznie.

- W Madrona Cove nie ma tylu dzieci. Nawet z dorosłymi jest nas tu mniej niż trzysta osób.

- No, dobra, ale ze trzydzieścioro było na pewno - upierał się Steve. - Czasem trochę przesadzam.

Położył dłonie na ramionach Lissy.

- Ale wcale nie przesadziłem z wpływem twojego pocałunku na mnie, Lisso. I o tym właśnie chciałem porozmawiać.

Milczała przez chwilę.

- Nie jestem pewna, czy rozmawianie na takie tematy jest dla mnie korzystne. Pocałowaliśmy się. Trochę się rozpędziliśmy. Ale to tylko... chemia.

- Są ludzie, którzy uważają, że ziemia się kręci dzięki tej chemii.

- Ja znam to powiedzenie w nieco innej formie.

- Wiem. To co z tym zrobimy?

- Nic. Absolutnie nic.

- Nie wydaje mi się, żeby to było możliwe - powiedział Steve. - Tego się nie da tak po prostu zignorować.

- Nie znamy się.

- O, to można łatwo zmienić. Masz chyba czasem wolne, prawda?
Wyberzmy się gdzieś razem, poznajmy się lepiej.

- Masz na myśli... randkę? Rozbawiła go jej reakcja.

- Nawet jeśli nie robiłaś tego przez ostatnie kilka lat, jestem pewien, że to nic nowego dla kobiety, która była sześciokrotnie zaręczona.

- Tak, ale...

- Ale co?

- No... nie wiem. Chyba chodzi o Madrona Cove. Nie ma tu żadnych szans na prywatność i anonimowość. Wszyscy, których znam - a to oznacza każdego, kto tu mieszka - będą sprawdzali, czy dobrze mnie traktujesz. Wystarczającym usprawiedliwieniem jest fakt, że znają mnie od kołyski i zmieniali mi pieluszki. Uważają, że mają prawo się wtrącać w moje życie.

- To może wyberzemy się gdzieś dalej, gdzie nikt cię nie zna? Moglibyśmy zachowywać się jak najzwyczajniejsza para na randce i...

Lissa pokręciła głową. Uśmiech Steve'a zgasł jak zdmuchnięta świeca.

- Przykro mi, ale nie mogę.

- Czemu?

- Bo mnie tu nie będzie. Mam wolne jutro, to znaczy właściwie już dzisiaj. Jadę do Tofino odwiedzić matkę.

- Chętnie zobaczyłbym zachodnie wybrzeże wyspy Vancouver - powiedział.

- Steve...

Wydawało mu się, że spodobała się jej jego propozycja, że nawet ją rozważa. Widział to w jej oczach. Ale ton jej głosu przepowiedział odmowę. Postanowił jednak nie poddawać się tak łatwo. Otoczył Lisę

ramionami i delikatnie musnął po karku. Miała ciepłą, miękką i odrobinę spoconą skórę.

- Nie mów „nie” - wyszeptał jej prosto do ucha.

- Wydawało mi się, że już powiedziałam.

- Bez przekonania. Czy naprawdę zaszokowałabyś matkę, pojawiając się u niej z mężczyzną u boku?

Lissa zaczęła się śmiać. Rozluźniła się i przytuliła do Stevena.

- Moja matka ma czwartego męża. Mnie uważa za wyrodną córkę, jeśli chodzi o sprawy damsko-męskie.

- Może chciałabyś pokazać jej, jak bardzo się myli?

- Nie, jeśli miałabym jej udowadniać, że umiem uwieść mężczyznę. Steve poczuł rosnący gniew.

- A to dlaczego? Co jest takiego okropnego w mężczyznach, że nie chcesz mieć z nimi do czynienia?

- Hej! - Lissa odsunęła się. - Nie bierz tego do siebie. Po prostu taka jestem. Jakoś nie traktuję mężczyzn jak trofea do zdobycia. Zawsze myślałam, że facetom powinno to odpowiadać.

- Hej, ja tylko chcę się z tobą umówić na randkę.

- Zauważyłam, że zaprosiłeś mnie tylko na randkę - powtórzyła za nim jak echo. - Ale we mnie jest mały feler. Kiedy tylko zbliżę się do jakiegoś faceta, zawsze chcę zbliżyć się jeszcze bardziej.

Zaśmiał się z ulgą. Najwyraźniej źle zrozumiał jej słowa.

- Kiedy ja jestem blisko ciebie, kochanie, pewna część mnie też chce zbliżyć się do ciebie jeszcze bardziej.

W oczach Lissy znowu zapłonął gniew.

- Nie o tym mówię! Zwykle od randek się zaczyna jakiś poważniejszy związek. Nie chodzi się na randki z kilkoma facetami naraz.

A ja nie chcę angażować się w poważniejszy związek. No, może i chcę, ale niekoniecznie chcę brać na siebie teraz wszystko, co się z tym wiąże.

- Co masz na myśli?

- Kiedyś zostałam zraniona - powiedziała cicho. Mówiła powoli, jakby rozmawiała sama ze sobą. - Szukam intymności. Kiedy tego nie znajduję, przeżywam ogromne rozczarowanie. Tak kończą się wszystkie moje związki. Chyba zawsze pociągali mnie nieodpowiedni mężczyźni. Nie chcę, żeby to się powtórzyło.

Steve znowu się najeżył. Nic go nie powstrzyma. Pokaże jej, że nie wszyscy faceci są tacy sami, udowodni, że on nie należy do grupy „nieodpowiednich mężczyzn”. Chciał trzymać ją w ramionach i całować. Zrobił to, zanim zdążył się powstrzymać.

Pocałował ją krótko, a ona spojrzała na niego zaskoczona. Stała jak wmurowana i tylko odrobinę drżała jej dolna warga. Westchnęła.

- Steve...

- Wiesz teraz, o czym mówię?

- Wiem. Właśnie dlatego uważam, że nie powinniśmy tego kontynuować.

Musnął kciukiem jej policzek.

- Ale zdaje się, że to robimy.

- Robimy?

- A nie robimy? Uśmiechnęła się.

- Nie jestem pewna.

- Lepiej nie uśmiechaj się do mnie w ten sposób.

- W jaki sposób?

- Nie umiem tego opisać - powiedział. - Po prostu kiedy się uśmiechasz, coś się ze mną dzieje.

- Spróbuję się więc powstrzymać - oświadczyła uroczyście i po chwili uśmiechnęła się szeroko.

Steve jęknął. Nie potrafił opanować ochoty, by dotknąć jej skóry. Przesunął dłonią po nagim ramieniu Lissy. Kiedy poczuł wstrząsającą ją dreszcz, pocałował ją namiętnie.

Ten pocałunek nie był ani krótki, ani niezobowiązujący. Był delikatny, słodki. Zupełnie wytrącił Lissę z równowagi. Gdyby Steve zachował się agresywnie, zachłannie, potrafiłaby mu się oprzeć. Ale tyle jej dawał, nie żądając nic w zamian...

Wszystkie słowa, które kiedyś były dla niej takie ważne: przeznaczenie, los, fatum, przeleciały jej przez głowę. Dawno przestała w nie wierzyć. Nie były prawdziwe. Ale pocałunek Steve'a... Jego ręce rozplatające jej warkocz... I miękkie usta przesuwające się po jej twarzy i szyi...

To musi być sen. Ale nie, to się naprawdę dzieje. Spotkali się, spodobali sobie i oto są tutaj, ona po raz drugi w ciągu tej doby w jego ramionach.

- Steve - wymruczała, gładząc go po policzku. - Myślę, że nie powinniśmy... chyba.

- Ja już nie myślę - odpowiedział. - Nie chcę myśleć. Chcę tylko czuć. Chodź...

Lissa zacisnęła powieki, poddając się coraz bardziej intymnym pieszczotom Steve'a. W pewnym momencie napięcie stało się nie do wytrzymania. Lissa jęknęła, schowała twarz na piersi Steve'a i rozplakała się.

- Proszę cię... nie płacz - próbował ją uspokoić.

- Przepraszam cię... Nie chciałam.... Ja tylko...

- Lisso... - Steve był blady i spięty, ale jednocześnie jakby triumfujący, tak jakby po trudnej i niebezpiecznej wspinaczce osiągnął upragniony szczyt. - Ja też cię przepraszam. Ale również dziękuję. Dałaś mi właśnie najwspanialszą rzecz, jaką kobieta może dać mężczyźnie.

Lissa nie umiała pohamować łez. Ona, która od lat nie płakała, łkała teraz pod wpływem pieścizot mężczyzny. Ze wstydu chciała zapaść się pod ziemię.

- Nic ci nie dałam - wydusiła z siebie.

- Dałaś mi swoje zaufanie.

Mogła się tego wyprzeć. A nawet powinna to zrobić. Wcale mu nie ufała. Nie ufała żadnemu mężczyźnie. Co więcej, po tym co się przed chwilą zdarzyło, przestała ufać samej sobie.

- Lisso... No przestań już. Popatrz na mnie. Pokręciła głową.

- Chcę, żebyś sobie poszedł.

- Nie licz na to. Jestem tu, żeby...

Nie dowiedziała się, po co, bo właśnie w tym momencie skrzypnęły drzwi i do jadalni weszła Rosa. Na widok Lissy i Steve'a wrzasnęła tak głośno, że musieli ją usłyszeć wszyscy mieszkańcy wyspy. Starsza pani stała w progu jak wmurowana. Taca z ciasteczkami, którą dzierżyła w dłoniach, powoli przechylała się i po chwili na podłogę posypały się cynamonowe rożki, babeczki z malinami i drożdżówki z budyniem. W końcu i sama taca upadła z brzękiem na podłogę.

- Melisso Ann Wilkins! Jestem wstrząśnięta! Twój ojciec powiedział „bądź miła”, a nie „idź z nim do łóżka”! - oznajmiła, po czym obróciła się na pięcie i wymaszerowała z jadalni, trzaskając drzwiami i zostawiając za sobą zapach cynamonu.

Cynamon, męska woda kolońska i seks...

- Co znaczy to: „bądź miła”?

Lissa nie była w stanie wykrztusić z siebie choćby słowa. Odwróciła się, wbiegła do pomieszczenia na tyłach zajazdu i zamknęła drzwi na klucz. Potem jak oszalała przebiegła przez zajazd, dopadła tylnego wyjścia i pognęła na łódź. Szybko wrzuciła kilka najpotrzebniejszych drobiazgów do torby, zadzwoniła do Pete'a, kierownika zajazdu, i oznajmiła mu, że opuściła stanowisko pracy. Odwiesiła słuchawkę, nie chcąc słuchać jego oskarżeń i gróźb, a po chwili siedziała już za kierownicą i jechała w stronę przystani. Wiedziała, że będzie musiała trochę poczekać na pierwszy prom, ale było jej to zupełnie obojętne.

Jak mogła pozwolić, by coś takiego się zdarzyło? Najchętniej zniknęłaby z Madrona Cove na zawsze. Może Rosa zachowa w tajemnicy to, co zobaczyła, i nikt się o niczym nie dowie. Chociaż to raczej wątpliwe, bo Rosa nie umie trzymać języka za zębami. Wkrótce całe Madrona Cove dowie się, że Lissę Wilkins przyłapano na gorącym uczynku w kompromitującej sytuacji. Z gościem zajazdu!

Z gościem, który powinien być wtedy w swoim pokoju, niepokojony przez straszliwe dźwięki, dziwne zdarzenia i duchy.

Gdyby Rosa im nie przeszkodziła, Lissa pewnie nadal bujałaby w obłokach, udając przed samą sobą, że Steve Jackson to właśnie ten odpowiedni mężczyzna. Wmawiając sobie, że go lubi, pożąda, mogłaby się w nim zakochać.

A może to się już stało? Może już się w nim zakochała? Co oznaczałoby, że nie zmieniła się ani trochę. Nadal jest idiotką, która zadurza się w każdym przystojniaczku.

Wjechała na prom, nie odwracając wzroku od wstecznego lusterka, jakby w obawie, że Steve może ją gonić i domagać się wyjaśnienia słów

Rosy. Uciekała. Zresztą nie pierwszy raz. Tylko że tym razem uciekała przed sobą, przed swoimi uczuciami. Na Boga, poznała tego faceta zaledwie tydzień temu! Jak można tak od razu się zakochiwać?

Myślała o tym podczas całej przeprawy przez rzekę Campbell. Powtarzała sobie, że nie jest zakochana. Pożądanie? - tak, ale na pewno, zdecydowanie, kategorycznie nie miłość.

Szeptala te słowa jak mantrę, jadąc autostradą na południe wyspy. Powtarzała, kiedy skręciła na zachód w Parksville. Zwykle zatrzymywała się na zakupy w Coombs, ale dzisiaj przejechała miasteczko, nie zdejmując nogi z pedału gazu.

Wysiadła z samochodu pod domem matki głęboko przeświadczona, że przekonała samą siebie. Nie kocha Steve'a Jacksona i już.

Ale kiedy tylko zobaczyła matkę, wybuchnęła płaczem.

- Nie kocham go, mamo! Naprawdę! Matka przytuliła ją do siebie.

- Pewnie, że nie, aniołku. Co za nedorzeczne przypuszczenie. A o kim mowa, tak na marginesie? Chodź. Wejź do środka i opowiedz mi o wszystkim.

Steve leżał na łóżku z rękami pod głową, gapiąc się na ciemny sufit, i myślał o Lissie. Nagle dotarły do niego coraz głośniejsze dźwięki.

Szlochy, jęki, zawodzenie. Włosy stanęły mu dęba

Coś białego i przejrzystego mignęło mu z lewej strony.

Zapalił światło i zobaczył, że to koronkowa firanka trzepocze, poruszana lekkim podmuchem. Otworzył szeroko okno, odsunął ją na bok i zaciągnął się głęboko świeżym powietrzem, słuchając rytmicznego uderzania fal o brzeg i patrząc w gwiazdziste niebo.

I wtedy usłyszał to znowu. Łkanie, a potem głośny krzyk. Instynkt podpowiadał mu, że nie powinien się odwracać od okna, że jeśli nie popatrzy w tamtą stronę, szuflady nie będą się same otwierać i zamykać. Obejrzał się przez ramię w chwili, gdy jedna z nich właśnie się zamykała.

Cisza, jaka zapadła po jękach, wcale nie była od nich lepsza.

Trwała kilka sekund. Przerwał ją wybuch histerycznego, ostrego i piskliwego śmiechu, dobiegającego z góry. Kiedy ucichł upiorny chichot, zabrzmiały po raz kolejny jękliwe zawodzenia, po czym znowu zapadła cisza. Steve słyszał tylko kojące dźwięki fal rozbijających się o brzeg.

Ale on był bardzo daleki od stanu ukojenia. Może i duchy jęczą, może otwierają i zamykają szuflady, może umieją przesuwac wieszaki w szafie z ubraniami, może śmieją się głośno i demonicznie, po czym znowu jęczą cicho. Może nawet potrafią powodować głuchoe odgłosy nad głową. Wszystko to możliwe, ale mało prawdopodobne.

A już na pewno nie spadały przez sufit.

Steve postanowił, że w ten lub inny sposób dowie się, co się dzieje w zajeździe „Madrona” i kto próbuje go przestraszyć.

Wyjrzał na korytarz, ale nie znalazł przejścia na strych. Chyba że byłyby to zamknięte drzwi u szczytu schodów. Jedyne inne zamknięte drzwi prowadziły do jego dawnego pokoju.

Chwileczkę... Jego dawny pokój. To jest jakiś punkt zaczepienia. Steve wszedł do łazienki, otworzył drzwi z drugiej strony i wszedł do środka.

Włączył światło. Nic ciekawego. Z łóżka zdjęto pościel, kufer stał w kącie, ale poza tym bałagan nie został uprzątnięty. Steve stanął dokładnie pod dziurą w suficie i nasłuchiwał, wstrzymując oddech. Na strychu

panowała cisza. A przecież właśnie stamtąd dobiegały go wszystkie te dziwaczne odgłosy.

Niezadowolony z odkryć, wrócił do swojej sypialni, wygrzebał z torby latarkę i wrócił do zniszczonego pokoju.

Wydawałoby się, że nie powinien mieć problemów z przysunięciem komody do łóżka. Ale mebel nie chciał się poddać jego wysiłkom. Siłował się z nim przez chwilę, po czym oderwał go od ściany z trzaskiem łamiących się drutów i sprężyn.

No, no, no!

Przynajmniej dowiedział się, jakim sposobem szuflady w jego pokoju samoczynnie się poruszały. W ścianie był rząd porządnie wywierconych dziurek, z których sterczały druty.

A co stało za ścianą jego pokoju na wysokości szafki z szufladami? Odtworzył w myślach rozkład sąsiedniego pomieszczenia. Zgadza się. Kredens w korytarzu. Postanowił sprawdzić go później. Najpierw jednak obejrzał uważnie szafę na ubrania, wiedząc, że stoi dokładnie w tym samym miejscu, co taka sama szafa w jego pokoju. Za i pod drążkiem na wieszaki znalazł niewielką szczelinę. Była tak wąska, że gdyby nie zostawił u siebie zapalonego światła i otwartych drzwi szafy, nie miałby szansy jej dostrzec. Na podłodze leżał cienki pręt przechodzący przez ścianę. Prawdopodobnie to właśnie on przesuwiał wieszaki z miejsca na miejsce.

- Bingo! - powiedział do siebie. - Robi się coraz bardziej interesująco.

Postanowił teraz sprawdzić, kim jest ten duch, skąd się biorą jego zawodzenia, jęki i chichot.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kiedy w końcu udało mu się przetaszczyć komodę na środek pokoju, wskoczył na nią i zajrzał w dziurę w suficie. Poszerzył ją i po chwili udało mu się też wcisnąć w wąski otwór dłonie oraz ramiona. Tynk i gruz zrzucił na łóżko, nie chciał bowiem żadnych kłopotów z gośćmi mieszkającymi piętro niżej.

W świetle latarki zobaczył stare meble stłoczone w najciaśniejszym kącie strychu. Stał tam między innymi dębowy fotel bujany i piękna, rzeźbiona szafa. Za takie wspaniałości jego matka gotowa byłaby zabić.

Zauważył też różne biurka, stoły, krzesła, stare lampy i inne drobiazgi przykryte bardzo grubą warstwą kurzu. Istna kopalnia skarbów.

Steve rozejrzał się dookoła. Wszędzie pełno gęstych pajęczyn. Z dachu zwieszał się czarny kabel i nikał gdzieś w zakamarkach. W kurzu wyraźnie było widać ślady stóp. Nie słyszał nigdy o duchach, które zostawiały po sobie taki trop.

Odłożył na bok latarkę, chwycił za dwie belki i podciągnął się do góry. W połowie drogi zrozumiał, dlaczego wtedy musiał wypchnąć do góry tajemniczą kobietę, której poszukiwał. Dach był w tym miejscu tak nisko, że Steven musiał się czołgać. Podrapał się przy tym cały o belki stropu.

Wreszcie udało mu się wyprostować i usiąść na legarze. Dalej poruszał się w kucki. Czarny elektryczny kabel zaprowadził go do dwóch zegarów, z których jeden, nastawiony na wpół do drugiej, już się wyłączył, podczas gdy drugi, nastawiony na wpół do czwartej, nadal tykał. Podłączono do nich dwa magnetofony.

Szybko przestawił drugi z zegarków. Z cichym trzaskiem włączył się magnetofon, wypełniając strych i przypuszczalnie pokój poniżej - jego pokój - dźwiękami zawodzenia i dzikich jęków. Na kilka minut zapadła cisza, po czym rozległ się upiorny chichot, to cichnąc, to przybierając na sile. Na koniec znowu wrócił lament.

Steve skasował nagrania na obu taśmach, po czym ustawił oba zegary we wcześniejszych pozycjach. Wciąż zgięty doszedł do miejsca, gdzie mógł się wyprostować. Ślady stóp prowadziły do wąskich schodków. Zszedł i zatrzymał się na podeście przed drzwiami. Otworzyły się przed nim bez trudu. Znalazł się w alkowie, również zapchanej antykami.

Z okna roztaczał się widok na morze, taki sam jak z jego pokoju. Z tego wynikało, że te dwa pomieszczenia muszą ze sobą sąsiadować.

Znalazł tu to, czego szukał. Nawet nie próbowano zamaskować pomysłowej konstrukcji z drutów, sprężyn i kolejnych zegarów. W ścianie wywiercono małe otworki. Wiedział, co stoi po drugiej stronie ściany na wysokości tych otworków.

Nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Musiał przyznać, że ktoś wpadł na niezły pomysł. Teraz już wiedział, jak i dlaczego szuflady w jego pokoju mogły się samoczynnie poruszać. Postanowił nie dotykać całej tej aparatury. Przeszedł do kolejnego pomieszczenia, którym okazała się mała kuchenka, za nią była niewielka jadalnia. Następne drzwi prowadziły na korytarz w pobliżu schodów.

Ktoś zadał sobie sporo trudu, by przekonać go, że w zajęździe straszy. Ale po co? Czy postępowali tak z każdym gościem zamieszkującym górne piętro? Jakoś nie mógł w to uwierzyć. Dziurki w ścianie wyglądały na świeżo wywiercone. Chodziło o niego. Zamierzał dowiedzieć się, dlaczego.

Wszedł z powrotem po wąskich schodach na strych. Na palcach podszedł do dziury nad swoim dawnym pokojem, zsunął się przez nią w dół i przeszedł przez łazienkę, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Leżał na łóżku, pogrążony w myślach. O co tu, do licha, chodzi? Dlaczego właśnie jego pokój? Dlaczego on?

To nie był jedynie jakiś tam dowcip. Ktoś czegoś od niego chce. I to nie jedna osoba. Zbyt wielu pracowników zajazdu i mieszkańców Madrona Cove opowiadało mu o tym „duchu”. Jakby zawiązano przeciw niemu spisek. Czy to miało jakiś związek z uwagą Rosy o „byciu miłą”? Ale jaki? W jaki sposób straszenie gościa miałoby się kwalifikować jako bycie miłym? Nie, tych dwóch spraw nie da się połączyć. Chociaż... mina Lissy sugerowała, że jednak istnieje jakiś związek.

Do diabła, nie ma w tym najmniejszego sensu. Gasząc światło i układając się wygodnie na łóżku, uznał, że nie ma też sensu zaprzętać sobie tym głowy. Nic mu się nie stanie w zajeździe „Madrona”. Nauczył się już, że najlepszą reakcją na takie dowcipy jest udawać, że niczego podejrzanego się nie zauważyło. Najważniejsze jeszcze przed nim. To on będzie się śmiał ostatni. Zrobiło mu się cieplej na myśl o zgryzotach, jakich przysporzy swoim prześladowcom, śpiąc sobie co noc snem niewinnego i reagując zdziwieniem na wszystkie pytania o to, czy aby coś mu nie zakłóca spokoju.

Nikt nie będzie robił takich numerów Steve'owi Jacksonowi.

Zaśmiał się znowu. Ciekawe, czy zachowywałby się tak samo, gdyby but spadł z innej stopy? Chyba nie.

W drodze powrotnej z Tofiny, gdzieś w pobliżu rzeki Campbell, Lissa zauważyła z osłupieniem pierwszy znak. Pomyślała, że może źle go

przeczytała. Padało, szyba była dość brudna, a ona zmęczona dwoma dniami spędzonymi na rozmowach i zakupach z matką, według której to były najlepsze sposoby rozerwania córki. Kiedy stanęła na światłach, zobaczyła drugą tablicę. Uważnie przeczytała napis.

SZAŁ W MADRONIE NIEZAPOMNIANY FESTIWAL 16 i 17
LIPCA MADRONA COVE, WYSPA QUADRA

Zanim dojechała do przeprawy promowej, minęła jeszcze trzy takie tablice. Co u licha? Skąd się wzięły? W jaskrawych kolorach, przyciągające wzrok, profesjonalnie przygotowane - zdecydowanie przekraczały reklamowe fundusze komitetu. Ostatnia, przy samej przystani, informowała:

SZAŁ W MADRONIE
NA TROPIE KOPCIUSZKA!
JEŚLI PANTOFEL PASUJE NA TWOJĄ STOPE...
MOŻESZ WYGRAĆ
GŁÓWNĄ NAGRODĘ!
JEDEN BILET ZA 2\$ LUB TRZY ZA 5\$

Jezus Maria! Ten wariat naprawdę zamierza to zrobić! Kto mu wynajął stoisko?

ŁOWIENIE INACZEJ
ZARZUĆ PRZYNĘTĘ NA CZARUJĄCEGO KSIĘCIA WYGRAJ
SPORO, WYGRYWAJ CZĘSTO KAŻDY BILET WYGRYWA

KAŻDY BILET TO TRZY PODEJŚCIA I POTRÓJNA SZANSA

O co mu chodzi z tym zarzucaniem przynęty? Wyobraziła sobie tłumy kobiet w kolejce po bilety, wszystkie pałające żądzą przymierzenia pantofla.

Ale właściwie nie ma się czego obawiać. Rosa nigdy nie kupiłaby biletu, nawet za cenę odzyskania swego cennego sandała.

A jeśli ktoś będzie miał dokładnie ten sam rozmiar stopy, co Rosa? Na przykład jakaś przyjezdna?

Dla niego nie ma to żadnego znaczenia. Nieważne, na kogo pasuje sandał, ważne, żeby mieć komu zaoferować „główną wygraną”. Lissa pamiętała ich pierwszą rozmowę. Wtedy wzięła to, co mówił, za żart. Najwyraźniej mówił poważnie. Zamierzał siebie oddać w nagrodę!

TRWA POSZUKIWANIE KOPCIUSZKA! MNÓSTWO NAGRÓD

Jak to „nagród”? To jest ich więcej? Miał przecież tylko jeden but, więc jak może być więcej wygranych? O co chodzi z tym, że „każdy bilet wygrywa” i z „trzema podejściami”? Co on zamierza? Podzielić się sobą?

Im bliżej była do Madrona Cove, tym większe i bardziej rzucające się w oczy stawały się tablice. Rosła też irytacja Lissy.

KAŻDA PANNA W KRÓLESTWIE MOŻE BYĆ
KOPCIUSZKIEM PRZYJDŹ I SPOTKAJ PRAWDZIWEGO
CZARUJĄCEGO KSIĘCIA CAŁY DOCHÓD PRZEZNACZONY
NA FUNDUSZ MADRONA COVE

Nieźle! Prawdziwy czarujący książę! Mężczyźni to zapatrzone w siebie bydlaki. Ani śladu skromności. Próbowwała nie myśleć o tym, jak łatwo ją zauroczył. Spadła mu w objęcia jak dojrzałe jabłko jesienią. Na szczęście dwudniowy pobyt u matki pozwolił jej nabrać trochę dystansu do całej sprawy. Przypomniała sobie, dlaczego przysięgła, że nie podda się jego urokowi. To uwodziciel, a z nimi nigdy nie miała szczęścia. Nawet jej matka się z tym zgodziła.

- Trzymaj się od niego z daleka - radziła. - Zniknij mu z horyzontu. Z tego co mówisz, wygląda na gościa, który lubi wakacyjne romanse. Niech go sobie zafunduje z kimś innym. Na przykład z Ginny. Ona zdaje się nieustannie szuka nowego faceta. I jest w jego typie.

W tym momencie Lissa przerwała matce, informując ją zgrzyźliwie, że jeśli ktokolwiek zasługuje na przelotny flirt, to na pewno ona.

- Więc o co chodzi? W czym problem? - zapytała matka. Czy jest na świecie jakaś inna matka, która powiedziałaby coś takiego do swojej córki?

Nie było jej dwa dni, a tu proszę - idiotyczne poszukiwanie Kopciuszka w toku. To tylko świadczy o tym, jaki zmienny jest Steve.

Wchodząc na łódź, Lissa znalazła wsuniętą w drzwi ulotkę opisującą z detalami przedsięwzięcie Steve'a. Stała długą chwilę w gęstniejącej mgłę, studiując ją uważnie.

Każda kobieta, która zmierzy pantofel, a on nie będzie pasował, otrzyma nagrodę pocieszenia - pocałunek Steve'a.

Cooo? Lissa zmięła ulotkę i rzuciła ją w stronę burty. Kulka odbiła się od niej i potoczyła z powrotem pod jej stopy. Patrzyła na nią jak zaczarowana, po czym zgmiotła ze złością obcasem.

Nie tylko mierzenie pantofli, ale i Stragan Pocałunków? Co on sobie myśli? Skąd wie, że kobiety będą chciały mierzyć ten jego cholerny but i całować się z nim?

Podniosła wymięty kawałek papieru i rozprostowała go dłonią. Przeczytała ponownie. Główna nagroda to dwutygodniowy pobyt z „osobą towarzyszącą” w „Happy Valley” - jednym z dużych hoteli jego ojca.

Zapewne spodziewał się, że to on będzie tą osobą.

Drugie miejsce to tygodniowy pobyt w tym samym hotelu, a trzecie - weekend. Inne nagrody wahały się między pięćdziesięcioma a pięcioma dolarami. Tych pięćdziesięci dolarowych było cztery.

Lissa ponownie zmięła ulotkę, zacisnęła ją w pięści i wyrzuciła za siebie. Tym razem papierowa kulka przeleciała nad burtą i wpadła do wody. Lissa patrzyła, jak znosi ją odpływ. Ani na jotę nie pomyliła się w pierwszej ocenie Steve'a. Flirciarz i uwodziciel, któremu nie wolno ufać. Będzie publicznie rozdawał swoje pocałunki.

A w ogóle to poroniony pomysł! Stragany pocałunków prowadziły zawsze kobiety, nie mężczyźni. Ale Steve nie był więcej wart. Niech się sprzedaje kobietom. Kobiety znała dobrze. Wiedziała, że będą się wielokrotnie ustawiały w kolejce. Ze względu na nagrody, nie na pocałunki, oczywiście. Ale jemu nie będzie to zapewne przeszkadzało. Będzie je rozdzielał, zadowolony z siebie. Obrzydliwe!

Światelko na sekretarce telefonicznej migotało jak oszalałe. Pierwsza wiadomość była od Steve'a. Lissa słuchała jej z zamkniętymi oczami, poddając się bez większych oporów działaniu tego ciepłego głosu.

„Lisso, wiem, że jesteś zła. Czemu uciekłaś, nie zamieniwszy ze mną ani słowa? Musimy porozmawiać, jak tylko wrócisz, i wszystko sobie

wyjaśnić. Nie zrobię nic wbrew tobie. Obiecuję. Możesz mi zaufać. W porządku?"

- Nie, nie w porządku - odpowiedziała. - Nic nie jest w porządku. I nie ma nic do wyjaśniania.

Zwłaszcza że to sobie nie mogła ufać, a nie Steve'owi.

Prawdopodobnie gdyby przewidziała, że kolejne nagranie też pochodzi od Steve'a, przewinęłaby taśmę i skasowała wszystko, co było na niej zarejestrowane. Ale nie spodziewała się drugiej wiadomości od niego, a kiedy usłyszała znowu jego głos, nie potrafiła zatrzymać taśmy.

„Rozmawiałem z twoim ojcem o stoisku. On i pozostali członkowie komitetu chętnie zgodzili się na moją propozycję. Wyszli z założenia, że im więcej atrakcji, tym lepiej. A ponieważ Larry Cranshaw zgodził się zagrać Robin Hooda, ja nie jestem potrzebny twojemu ojcu. Mogę więc spróbować uzbierać trochę pieniędzy dla funduszu w inny sposób. Uważam, że pomysł z Kopciuszkiem nie jest taki najgorszy. Jak myślisz? Aha, podobają ci się tablice?"

- Pewnie - odpowiedziała. - Świetny pomysł. Tablice po prostu zbiły mnie z nóg. Zamierzam powyrywać je z ziemi jedną po drugiej i porąbać na drobne kawałki!

Pozostałe wiadomości na sekretarce zostawili jej ojciec i przyjaciele. Wszystkie pełne były aluzji do jej tajemniczej „eskapady”. Jak mogła mieć choć przez chwilę nadzieję, że Rosa utrzyma język za zębami? Najbardziej wytrącił ją z równowagi telefon od Ginny.

„Wcale ci się nie dziwię. On rzeczywiście jest wart zachodu. Szkoda, że nie zwraca na mnie uwagi”.

- To jest nas już dwie - oświadczyła Lissa, po czym wysłuchała kolejnej wiadomości, tym razem od ojca.

„Czemu powiedziałaś Steve'owi, że nie ma już wolnych stoisk do wynajęcia? Jego pomysł jest genialny. Oczywiście nie wspomniałem mu, do kogo należy sandał. Pomagam mu teraz zgromadzić zestaw dziwnego obuwia. Podoba mi się przewrotność tej sytuacji - Steve Jackson junior pomaga mieszkańcom Madrona Cove zdobyć pieniądze, dzięki którym Steve Jackson senior nie będzie mógł położyć łapy na zajeździe. Toż to czysta poezja! Zadzwoń do mnie, skarbie, jak tylko wrócisz. Opowiem ci o wszystkim, cośmy ustalili ze Steve'em. Podoba mi się ten twój facet, Liss. Nawet bardzo”.

- To nie jest mój facet! - krzyknęła głośno, jakby chciała dosięgnąć ojca w jego przyczepie stojącej na wzgórzu, półtora kilometra od przystani.
- Nie chcę żadnego faceta. Nie potrzebuję. Nie muszę. Muszę... iść spać.

Szybko wyłączyła telefon, rozebrała się, umyła zęby i padła na łóżko. Może jeśli uda się jej zasnąć, nie będzie musiała walczyć z myślami o Stevie, o tym, co się stało, i o tym, co na pewno nie wydarzy się w przyszłości...

Zaczęła właśnie zapadać w sen, ukołyszana monotonnymi uderzeniami kropli deszczu o wodę zatoki, gdy coś zaczęło walić rytmicznie w burtę łodzi.

- Spadaj - wymamrotała, ale jej słowa nie odniosły pożądanego skutku.

Walenie ustało tylko na moment, po czym zaczęło się od nowa. Pomyślała, że to prawdopodobnie kawałek dryfującego drewna miotany falami odpływu. Jeśli sama go nie usunie, może się to ciągnąć godzinami.

Wściekła zarzuciła płaszcz przeciwdeszczowy na koszulkę, w której spała, nałożyła kaptur na głowę i wyszła na zewnątrz z bosakiem w dłoni.

Mokry pokład ziębił jej bosc stopy. Podeszła do dziobu, wypatrując kłody. Miała nadzieję, że dosięgnie jej bosakiem. Przechyliła się przez burę i zmartwiała.

- Steve! Co ty wyprawiasz?

Przewieszony przez dziób swojej łódki, wiosłował rękoma. To on obijał się o jej burę.

Spojrzał do góry. Był cały mokry. Włosy przykleiły mu się szczelnie do czaszki, szczękał zębami.

- Zzzamarzam - wydusił z siebie z wysiłkiem, tak że ledwie go zrozumiała. - Próbuję dosięść się do ttej cholerrnej przystani. Silnik wyssiadł.

Lissa chciała poznać dokładnie rozwój wypadków.

- Co się stało z wiosłami?

- Jedno ssię złamało. Wwiosłowałem drrrugim, ale wleciało ddo wody. Wypadłem zza burę, prrróbując je wyłowić.

Był blady jak ściana, oczy błyszcząły mu niezdrowo.

- Łap - powiedziała, kiedy tylko wróciła jej zdolność rozsądnego myślenia, i zahaczyła bosakiem o łódkę Steve'a. - Przeciagnę cię na rufę.

Widziała, że przemókł do suchej nitki. Nie mógł utrzymać bosaka w zgrabiałych dłoniach. Zęby szczękały mu tak mocno, że prawie je słyszała. Nawet w lipcu woda w oceanie była bardzo zimna. Do tego dochodził jeszcze deszcz i mgła. Nic dziwnego, że przemarzył do szpiku kości.

Kiedy w końcu stanął na pokładzie, nogi się pod nim ugięły. Chwycił Lisę kurczowo za ramię, żeby nie upaść. Podtrzymała go i wzięła pod pachy, zastanawiając się, co powinna zrobić.

- Właż do środka - powiedziała, popychając go lekko w stronę drzwi.

- Zajmę się twoją łódką.

Ze zdenerwowania i strachu i jej zaczęły się trząść ręce. W końcu zeszła za Steve'em na dół. Stał oparty o ścianę, nadal w dzinsach i mokrej koszulce. Wstrząsały nim silne dreszcze.

- Pod prysznic - zakomenderowała, wskazując mu drogę.

Zrzuciła z siebie płaszcz i zaprowadziła Steve'a do łazienki, zamykając za sobą drzwi. Odkręciła gorącą wodę, nie zwracając uwagi na to, że oboje są ubrani. On i tak kompletnie przemókł, jej również niewiele brakowało.

Lała ciepłą wodę na jego głowę, pozwalając jej spływać na ramiona i plecy. Po chwili posadziła go na klapie sedesu. Małe pomieszczenie wypełniła para.

Uklęknęła obok Steve'a, rozsznurowała jego buty, ściągnęła skarpetki i zaczęła rozcierać jego lodowate stopy.

Wciąż szczękał zębami.

- Jak długo byłeś na zewnątrz? - zapytała, wkładając jego nogi do miski z gorącą wodą.

- Od świtu. Nie mogłem spać. Ciebie nnie było. Nnic do roboty.

Udała, że tego nie usłyszała.

- Nie wzięłeś żadnej kurtki?

- Pogoda była sssuper.

Ściągnęła z niego koszulę i zaczęła masować mu plecy i ramiona ostrą gąbką.

- Czemu nie wróciłeś, jak tylko zaczęła się psuć?

- Próbowałem. Ssilnik wysiadł.

- Wstań i zdejmij spodnie.

Próbował zaśmiać się przez szcękające zęby.

- Dasz mi klapsa, mamusiu?

- Lepiej nie gadaj tyle.

Sama rozluźniła mu pasek i rozpięła rozporek, bo nie mógł sobie z tym poradzić trzęsącymi się dłońmi. Ściągnęła z niego spodnie i bieliznę. Próbowała udawać, że jest pielęgniarką. Ale sama dobrze wiedziała, że to wykręt.

Zakręciła wodę i przyniosła największe i najgrubsze ręczniki, jakie miała. Jednym okręciła go w pasie, drugi, który ją owinąłby od stóp do głów, zarzuciła mu na ramiona i plecy.

Wytarła go mocno. Nadal miał dreszcze. Jego skóra wciąż była zimna. Co jeszcze powinna zrobić, by go rozgrzać? Jak należy postępować w przypadkach hipotermii?

Ciepłe okłady. Gorące płyny. Cukier.

Zaprowadziła go do swojego pokoju i wskazała gestem rozścielone łóżko.

- Wskakuj.

Odwrócił się i spojrzał na nią, marszcząc brwi.

- Zzapraszasz mnie do swojego łóżka? - Udało mu się uśmiechnąć. - Widzę, że naprawdę działają na ciebie mmmokre podkkkoszulki.

- Pod kołdrę, Jackson. To hipotermia. Jednym z jej objawów jest irracjonalne zachowanie. Zapomnij o tym, co ci teraz chodzi po głowie. Nie byłbyś zresztą w stanie. Potrzebujesz ciepła.

Po co ona to wszystko opowiada nurkowi, który właśnie wrócił z Antarktyki?!

- Myślę, że gdy tylko zznajdę się razem z tobą pod kołdrą, zzzrobi mi się cieplej.

Lissa zmusiła go, by się położył, przykryła kołdrą i sięgnęła pod nią po mokre ręczniki. Steve odrobinę uniósł biodra. Lissa wyszarpnęła ręczniki i zanurkowała w szafie, szukając elektrycznego koca, którego czasem używała zimą.

Otuliwszy nim szczelnie Steve'a, poszła do kuchni i nastawiła czajnik. Chciała przygotować gorącą czekoladę.

Czekając, aż woda się zagotuje, rzucała co chwila spojrzenia przez ramię w stronę sypialni. W końcu w czajniku zawrzało. Lissa wsypała proszek z torebki do filiżanki, zalała go wodą i wróciła do sypialni.

- Usiądź i wypij to.

Zęby Steve'a szczękały o brzeg filiżanki. Wypił większość płynu, po czym opadł z powrotem na poduszki. Wstrząsały nim tak silne dreszcze, że Lissa czuła je, siedząc na brzegu łóżka.

Miał zamknięte oczy. Od bladej twarzy mocno odcinały się ciemne rzęsy. Jego wargi były niemal białe.

Lissa zdała sobie sprawę, że miał rację. Pomógłoby mu, gdyby ona położyła się obok i ogrzała go własnym ciałem. Właściwie nie miała wyboru. Jednym ruchem ściągnęła z siebie wilgotną koszulkę, wsunęła się pod kołdrę i objęła go mocno.

Zadygotał, wymamrotał coś niezrozumiałego i przytulił się do niej. Rozcierała jego ramiona i plecy, aż zaboląły ją ręce.

- Opowiedz mi bajkę - powiedział, a ona z zadowoleniem zauważyła, że przestał szczękać zębami. - Tę o księżniczce.

- Zakochała się w przystojnym księciu - zaczęła Lissa, pragnąc w jakiś sposób odciągnąć swoje myśli od nagiego męskiego ciała, które czuła tak blisko. - Straszliwy smok zniszczył jej zamek i porwał księcia.

- Nie pomieszałaś czegoś? To chyba było na odwrót?

- Nie. Tak właśnie było. Księżniczka straciła wszystko. Została jej jedynie papierowa torba. Włożyła ją na siebie i wyruszyła na poszukiwanie smoka. Chciała go pokonać i uwolnić księcia.

- To było dokładnie na odwrót!

- Nie. Nie przerywaj. Księżniczka postanowiła wykraść księcia smokowi. Jednakże smok był bardzo duży i silny. Za duży i za silny, by mogła stawić mu czoło.

- Aha, nareszcie. Książę dostał smoka w swoje ręce i rozsiekał go na drobne kawałki - powiedział z triumfem w głosie Steve.

Lissa zaśmiała się.

- Coś ty! Po pierwsze - to opowieść o księżniczce. Po drugie - książę siedział zamknięty w klatce w jaskini smoka. Księżniczka wiedziała, że nie zdoła pokonać smoka w bezpośredniej walce, więc postanowiła wziąć go podstępem. Mówiła mu tak miłe rzeczy, że po chwili jadł jej z ręki. Bardzo lubił się popisywać. Chciał za wszelką cenę pokazać jej, jaki to z niego groźny smok. Kiedy w końcu zmęczony popisami legł na ziemi, księżniczka weszła sobie spokojnie do jaskini i uwolniła księcia.

- I żyli długo i szczęśliwie? - Steve ziewnął ostentacyjnie.

- Niezupełnie. Z księcia był niezły gagatek. Spojrzał na księżniczkę i powiedział, że jej nie chce, bo ma rozczochrane włosy, brudną twarz i papierową torbę zamiast pięknej sukni. Księżniczka odpowiedziała mu, żeby się wypchał, i poszła sobie na koniec świata. Ona żyła długo i szczęśliwie. Co się stało z księciem - nie mam zielonego pojęcia.

Lissa poczekała chwilę na komentarz Steve'a. Ale docierało do niej tylko ciche pochrapywanie. Uśmiechnęła się pod nosem i przytuliła go mocniej. Cieszyła się, że mogła mu pomóc. Cieszyła się też, że nie

powiedział jej, że jest brudna i rozczochrana i że nie chce przemoczonej księżniczki w płaszczu przeciwdeszczowym z kapturem.

Zdecydowanie bardziej podobał się jej Steve niż książkę opisany przez Roberta Munscha. Kilka chwil później poczuła, że i ją ogarnia sen. Po chwili coś ją jednak obudziło. Było twarde i gorące. Czowała to na swoim biodrze.

- Lisso...

- Co? - zapytała, przytulając się jeszcze mocniej do Steve'a.

Próbował ją odepchnąć.

- Lisso, obudź się. Posłuchaj. Lepiej wstań z łóżka. Natychmiast.

Popychał ją w górę, aż usiadła. Oczy mu płonęły, oddech miał coraz szybszy i bardziej chrapliwy.

- Proszę cię, Lissa. Idź już.

W milczeniu znosiła jego błagalne spojrzenie. Próbowała oddychać spokojnie, ale to nie było możliwe. Nie teraz, kiedy w jej żyłach krew krążyła tak szybko.

- Nie wiem... czy potrafię - wyszeptała. Teraz to jej ciałem wstrząsały dreszcze. - I chyba wcale nie chcę.

Steve jęknął. Wplątał palce w jej włosy. Lissie było zupełnie obojętne, że jest rozczochrana.

- Na pewno? - zapytał.

- Na pewno - odpowiedziała, obsypując go pocałunkami, głaszcząc po twarzy. - Pragnę cię, Steve.

- Lisso...

Głos mu się łamał. Patrzył jej prosto w oczy, szukając potwierdzenia tego, co właśnie usłyszał.

- Pocałuj mnie - wyszeptała.

Dla Lissy nie liczyło się już nic poza Steve'em, jego zapachem, dotykiem, smakiem jego skóry, gorącym oddechem. Zrozumiał jej nieme błagania i ofiarował jej wszystko, o co prosiła.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Lissa obudziła się o zmierzchu. Otworzyła oczy, przeciągając się zmysłowo. Steve popatrzył na nią ciepło.

- Kocham cię, Lisso - powiedział nieoczekiwanie.

Wstrzymała oddech. Serce zabiło jej w piersi jak szalone.

Przełknęła głośno ślinę.

- Steve... - zaczęła drżącym głosem.

- Cicho... - Zamknął jej usta pocałunkiem.

Potem pocałował ją jeszcze raz, już nie tak delikatnie.

- Nie musisz nic mówić. Wiem, że jeszcze nie jesteś gotowa.

Chciałem po prostu, żebyś знаła moje uczucia.

- Ale... to za szybko - zaprotestowała łamiącym się głosem. - Nie można tak nagle się zakochać.

Steve pocałował jej rzęsy wilgotne od łez.

- Czyżby ktoś ustalił harmonogram zakochiwania się?

- Ja po prostu nie wierzę w bajki i szczęśliwe zakończenia.

- Fakt, że sama tego nie doświadczyłaś, nie znaczy, że to bzdury wyssane z palca.

- Nie chcę o tym teraz mówić. Ja... - zamilkła i schowała twarz na piersi Steve'a.

Zasnęli ponownie, mocno wtuleni w siebie.

Lissa spóźniła się do pracy tylko pięć minut. Nie chciała budzić Steve'a, więc zostawiła go śpiącego w łóżku. Marzyła teraz tylko o tym, żeby był tam jeszcze za osiem godzin, kiedy wróci z nocnej zmiany.

Próbowała sobie wyobrazić, że zastaje go w swoim łóżku codziennie rano, przytula go, pieści, kocha się z nim.

Jednak zamiast się cieszyć, poczuła smutek i lęk.

Siedziała przed telewizorem. Waśnie emitowali jakiś stary film. Obejrzała go od początku do końca, ale była tak głęboko pogrążona w myślach o Stevie, że z ekranu nie dotarło do niej ani jedno słowo.

Nigdy nie podejrzewała, że którykolwiek mężczyzna mógłby wzbudzić w niej takie uczucia jak Steve. Przeraziło ją to odkrycie. Zapragnęła, by dał jej wszystko, co mógł dać, całego siebie. Chciała trzymać w ramionach jego dziecko, stworzyć wspólnie z nim rodzinę, dom...

Uświadamiając sobie nierealność tego marzenia, rozplakała się żałośnie.

I nagle obok niej stanął Steve we własnej osobie, jakby odpowiadając na jej bezgłośnie wołanie.

- Lisso, co się stało?

Zajrzał jej w oczy, osuszył łzy. Patrzył na nią z taką troską, że nie mogła tego znieść. Schyliła głowę.

- Nie chcę patrzeć na ciebie, a ty nie patrz na mnie. Wyglądam strasznie.

- No, ale przynajmniej nie masz na sobie papierowej torby. Zaśmiała się przez łzy.

- Teraz lepiej - uznał. - Powiesz, co się stało?

- Nic.

- Ejże... Płaczesz bez przyczyny? Nie wierzę. Musi być jakiś powód twoich łez.

- Już nie wiem, kim jestem.

- Mogę ci powiedzieć. Jesteś Lissą, kobietą, którą kocham.

- Dziś.

Uniósł jej brodę i spojrzał poważnie w oczy.

- I jutro. I pojutrze. I tak długo, jak potrafię sobie wyobrazić.

- W tym problem. Żadne z nas nie potrafi patrzeć wystarczająco daleko w przyszłość.

Steve milczał przez kilka sekund.

- Aha, potrzebne ci gwarancje. Nic na to nie odpowiedziała.

- Nie mogę ci niczego zagwarantować, Lisso.

- Wiem. Nie proszę cię o to. Sama przecież też nie mogę za siebie ręczyć.

- A jednak tego byś chciała ode mnie. Czy dlatego płakałaś?

- Niezupełnie. Po prostu przez chwilę poczułam się słaba.

Opanowała mnie ochota, żeby... nie powinnam o tym myśleć.

- Czyli o czym?

- Nie umiem o tym mówić.

Jakimi słowami można opowiedzieć, co czuła jako dziesięcioletnie dziecko oderwane siłą od ojca, wywiezione przez matkę z ukochanego domu? Jak wyjaśnić, że matka wybrała sobie na nowego towarzysza życia tuzinkowego komiwojażera? Owszem, miłego i przystojnego, ale niestałego z natury.

Jak dać Steve'owi do zrozumienia, że jest taka sama jak jej matka? Że zawsze pociągają ją nieodpowiedni mężczyźni. Po rozstaniu z Frankiem Wilkinsem matka jeszcze trzykrotnie wyszła za mąż. Każdego męża kochała szczerze, ale krótko. A miłosne doświadczenia Lissy dokładnie powtarzały wzorzec matki. Miała sześć poważnych romansów, zanim skończyła trzydzieści lat. Za każdym razem była pewna, że to związek do grobowej deski. Nauczyła się z tego wszystkiego, że nie należy sprowadzać na ten świat dzieci, jeśli miałyby one mieć takie dzieciństwo, jak ona. Przypadek Steve'a był tylko kolejnym chorobliwym incydentem bez przyszłości.

- Spróbuj. Może uda ci się znaleźć na to odpowiednie słowa - upierał się.

Odsunęła się od niego.

- Nie, Steve. Nie chcę o tym mówić.

Opadł na sofę, założył nogę na nogę i wnikliwie popatrzył na Lisę.

- Dobrze, jak chcesz. Porozmawiajmy więc o czymś innym. Widząc jego minę, Lissa poczuła na plecach zimny dreszcz.

- Na przykład o czym?

- Na przykład o kasetach z nagraniem naśladowującym zawodzenia ducha.

Lissa jęknęła i zakryła dłonią usta.

- O, do licha!

- Widzisz, rozgryzłem cię.

W jego głosie nie było złości, tylko ciekawość i rozbawienie.

Lissa nie potrafiła udawać zdziwienia. Nie umiała się wszystkiego wyprzeć. Odwróciła się i odeszła kilka kroków, ale Steve wstał i poszedł za nią.

- Kto ci o tym powiedział? - zapytała.

- Nikt. Sam wydedukowałem, że to ty spadłaś do mojego pokoju.

Nogi się zgadzają, tatuaż też.

- A taśmy? Skąd wiesz o taśmach?

- Wlazłem na strych przez dziurę w suficie pierwszej nocy po twoim wyjeździe. Zapomniałaś zamknąć na klucz drzwi z łazienki do mojego starego pokoju.

- Aha. - Poczowała, że ma zupełnie sucho w ustach. - To po co szukać Kopciuszka, skoro już wszystko wiesz?

Steve zaśmiał się krótko i nieprzyjemnie.

- Zamierzałem publicznie cię zdemaskować.

- Nie miałbyś szans. Nie przyszedłbym do przymiarki.

- No właśnie. I to właśnie by cię zdradziło.

- Niech ci będzie. Ale teraz już wszystko wiesz, ja nie zaprzeczam, więc nie musisz bawić się w księcia.

- Nie muszę, ale chcę.

- Czemu?

- Żeby wspomóc fundusz.

Lissa zamknęła na chwilę oczy, westchnęła głęboko i osunęła się na krzesło.

- A niech to, Steve... Zapomnij lepiej o tej historii i wyjedź stąd.

- Zostaję. Zrobiono ze mnie balona i chcę się dowiedzieć, dlaczego.

Kto to wszystko wymyślił i po co? Myślę, że należy mi się jakieś wyjaśnienie.

- Nie tylko tego chciałeś ode mnie w mojej sypialni - warknęła.

- Zgadza się. I nie tylko tego będę chciał w przyszłości. Ale teraz oczekuję wyjaśnienia. Czy nie ufasz mi na tyle, by zdradzić, o co w tym wszystkim chodzi?

Lissa zawahała się. Kochała Steve'a, a cóż znaczy miłość bez zaufania? Ale musiała również pamiętać o ojcu oraz przyjaciółach, którzy powierzyli jej zadanie do wykonania i również jej ufali. Spojrzała Steve'owi prosto w oczy i zaczęła powoli mówić.

- Wiem, po co tutaj przyjechałeś, Steve. Ja... my wiemy. John Drysdale, przedstawiciel agencji nieruchomości, zdradził nam, że ktoś ma chrapkę na nasz zajazd i zamierza tego lata przyjrzeć mu się bliżej. Powiedział też, że to ktoś, kto już ma ustaloną pozycję w turystycznym biznesie. I wtedy zjawiasz się tu ty. Nietrudno wywnioskować, że na polecenie twojego ojca.

- Na urlop.

- Nie opowiadaj bajek. W tym roku tylko jedna nowa osoba zarezerwowała u nas pokój - właśnie ty. Wszyscy pozostali przyjeżdżają tu od lat. Poza tym znamy metody twojego ojca. Zawsze wysyła kogoś do hotelu, który chce kupić, żeby poznać wszystkie jego słabe punkty i zbić cenę. To zrozumiałe - nikt nie lubi kupować kota w worku. Tylko że nam zależy na tym, by twój ojciec nie kupił zajazdu „Madrona”.

- I liczyliście na to, że odstraszą go opowieści o duchu?

- Nie tylko opowieści. Dźwięki, szuflady, wieszaki. Mnie by to przestraszyło!

- A mnie jakoś nie przestraszyło. Nawet mi specjalnie nie przeszkadzało. Skasowałem taśmy, więc nic mnie nie budziło w nocy. Szuflady postanowiłem zignorować. - Steve uśmiechnął się chytrze. -

Najlepszą metodą na takie dowcipy jest udawanie, że się ich w ogóle nie zauważyło. Nauczyłem się tego na statku.

- To nie był tylko dowcip.

Lissa wyjaśniła mu, że zależało im na tym, by wystawił zajazdowi jak najgorszą opinię.

- Sami chcemy go kupić, Steve. Zaraz po festiwalu.

Steve zerwał się na równe nogi i cofnął gwałtownie. Trafił na krzesło i opadł na nie.

- Bawiłaś się mną! Byłem tylko narzędziem, służącym do osiągnięcia celu!

- Nie! To nieprawda! - zaprotestowała żarliwie i prawie przekonująco. - A w każdym razie nie działałam z premedytacją. Raczej z desperacją. Przecież ty, przyjeżdżając tutaj na zwiad i udając zwykłego gościa, też nami manipulowałeś. Nawet gdybyśmy się specjalnie nie starali, znalazłbyś w „Madronie” sporo niewygód i usterek. To rzeczy nie do uniknięcia w takim starym budynku. Ciekawe, jak wyglądałby twój raport dla ojca? Pewnie wydatnie pomógłby mu zbić cenę, co?

- Lisso...

- Więc postanowiliśmy podsunąć wam argumenty, które obniżyłyby ją maksymalnie. A może nawet w ogóle ostudziły wasze zapęły. No bo czy twój ojciec chciałby kupić zajazd opanowany przez duchy i termity? Chociaż z termitami improwizowałam. Nie planowałam wpadać przez sufit do twojego pokoju.

Ale skoro się to stało, wymyśliłam termity, spodziewając się, że wyjedziesz natychmiast.

Steve spojrział na nią uważnie. Wiedział wcześniej, że coś przed nim ukrywa, ale nigdy w życiu by nie wpadł, że chodzi o taką intrygę.

- Aha. Strasznie cię musiałem rozczarować.

- Steve... - Nigdy dotąd nikogo o nic nie błagała, ale teraz było jej już wszystko jedno. - Po prostu nie chcemy, żeby twój ojciec albo ktokolwiek inny kupił zajazd, bo wygląda na to, że możemy sami go kupić. Z tym, co zbierzemy w tym roku w czasie festiwalu, powinniśmy mieć dość pieniędzy. Ale tylko pod warunkiem, że twój ojciec nie złoży korzystniejszej oferty.

- Żeby odzyskać zajazd, ojciec poprosił cię, byś była dla mnie miła? Uszczęśliwiła mnie? Nie za bardzo to rozumiem.

- Gdyby... gdyby nie udało nam się zebrać dość forsy i twój ojciec jednak kupiłby zajazd, tato i nie tylko on, pomyślał, że dobrze byłoby mieć ciebie po swojej stronie.

- Więc to tak! - wykrzyknął, zrywając się na równe nogi. - To ty mnie uwiodłaś, kiedy okazało się, że nie zamierzam wyjeżdżać. To ty...

- Nie! Nie uwodziłam cię! Próbowałam ci się oprzeć, ale...

- Bzdury! - warknął i przysunął się do niej bliżej. Promieniował wściekłością. - Dobrą naukę wyciągnęłaś z tej swojej bajeczki, co? Zrobiłaś sobie z niej receptę na życie? Nie mogłaś pokonać smoka w bezpośredniej walce, więc użyłaś podstępu? Przechytryłaś mnie, zrobiłaś ze mnie głupka, sprowokowałaś, bym sam siebie zajeździł, próbując ci udowodnić, jaki to ze mnie wspaniały smok, aż osłabiony nie potrafiłem ci się oprzeć?

- Jesteś nienormalny. To nie tak...

- Może byłem nienormalny, ale to już minęło. Teraz widzę wszystko jasno i wyraźnie. To tobie zależy, żeby nikt inny nie kupił zajazdu.

- Nie tylko mnie - zaprotestowała. - Nam, komitetowi zarządzającemu i gromadzącemu fundusz. Całemu miastu.

- To nie całe miasto zamieszało mi w głowie. I nie całe miasto całowało mnie tak, że zapominałem o bożym świecie. Ani nie kochało się ze mną jak w jakimś transie.

Steve nie mógł już dłużej ukrywać targających nim emocji. Położył dłonie na ramionach Lissy. Wyrwała się, on również odskoczył w tył. Zatrzymał się przy kominku. Dopiero z takiej odległości był w stanie na nią patrzeć.

- I pomyśleć, że nazwałaś mnie oportunistą!

- Kiedy to powiedziałam, prawie wcale cię nie znałam, Steve. I nie zależało mi na...

- Daruj sobie - przerwał jej, machając ręką. - Twoje wyjaśnienia są podejrzane przez sam fakt, że pochodzą od ciebie. Nie lubię, kiedy się mną manipuluje. Nie lubię być narzędziem, a właśnie tak mnie traktowałaś od samego początku. Ty, z tymi swoimi wielkimi brązowymi oczami, seksownym ciałem. Jak mam ci wierzyć, że nie spadłaś przez sufit specjalnie?

- Bo to nieprawda! - krzyknęła i nagle przypomniała sobie, gdzie jest i która jest godzina. Ściszyła głos. - Nic nie rozumiesz! Przypomnij sobie, że kiedy się to wszystko zaczęło, zupełnie cię nie znałam. Nie wiedziałam jeszcze, że mi... na tobie zależy.

- Aha, i chcesz, żebym uwierzył, że teraz stałem się dla ciebie kimś ważnym?

- Tak

Powiedziała to tak cicho, że ledwie ją usłyszał. Na widok łez zbierających się w jej brązowych oczach prawie się złamał. Ale postanowił być twardy.

- Ani teraz, ani wtedy nic a nic ci na mnie nie zależało.

- Na początku rzeczywiście nie, przyznaję. Liczył się dla mnie tylko zajazd i mój ojciec. Bardzo chce odzyskać „Madronę”. Spróbuj to zrozumieć, Steve. Ten zajazd tak długo należał do naszej rodziny. Mój dziadek przegrał go w karty do jednego z bogatych gości, który zatrudnił dziadka jako kierownika. Mój ojciec zawsze mieszkał w zajazdzie. Kiedy dziadek zginął w wypadku samolotowym, ojciec miał dwadzieścia lat. Przejął po nim stanowisko. To on uczynił z zajazdu to, czym jest dzisiaj. A raczej, czym był jeszcze niedawno. Wszyscy mieszkańcy Madrona Cove wierzą, że gdyby mój ojciec odzyskał własność, doprowadziłby zajazd do stanu dawnej świetności. Zrobiłabym wszystko, żeby mu w tym pomóc.

Steve milczał, zastanawiając się nad tym, co właśnie usłyszał.

- W takim razie nie powinnaś mieć trudności ze zrozumieniem, dlaczego robię to, na czym zależy mojemu ojcu.

Lissa musiała się z tym zgodzić. Wyglądała tak żałośnie, że niewiele brakowało, by Steve dał za wygraną i przyznał, że nie przyjechał do „Madrony” z polecenia ojca.

- To prawda - powiedziała. - Twój ojciec świetnie sobie radzi. Jego interes kwitnie. Rozumiem, że musi szukać możliwości rozszerzenia swojej działalności. Ale nie tu, Steve. To jedyne, o co cię proszę - nie zajazd „Madrona”!

- A czemuż by nie? Bo ty tego nie chcesz? Przecież sama powiedziałaś mi, że nie można mieć wszystkiego, czego się chce.

- Nie chodzi tylko o mnie, lecz o mojego ojca. To jest dla niego bardzo ważne. Zajazd to jedyna rzecz, na której mu zależy.

- A z ciebie taka wspaniała córka, że gotowa jesteś pójść do łóżka z wrogiem, byle tylko zdobyć dla ojca to, czego on chce. Altruistka z ciebie, Lisso.

- Nieprawda. Nie mam pojęcia, co to altruizm - powiedziała, siadając na krześle. - Jeśli ojciec wyprowadzi się z zajazdu, będzie nalegał, żebyśmy zamieszkali razem. Nie potrafię sobie tego nawet wyobrazić. I na pewno nie chcę mieszkać otoczona przez te jego starocie, które uparcie nazywa moim „posagiem”. Zresztą w ogóle nie chcę mieszkać w domu. Mam swoją łódź. Ona daje mi wolność. Nie zamierzam z niej zrezygnować.

- Nawet jeśli w ten sposób mogłabyś uszczęśliwić ojca?

- To nieuczciwe zagranie - odpowiedziała. - Pewnie, że chcę, żeby mój ojciec był szczęśliwy, ale nie mam zamiaru płacić za to swoim szczęściem. Jednakże dopóki on nie odbuduje swojego życia, ja jestem uwiązana.

- Aha, więc jeśli wszystko się uda i odzyskacie zajazd, ty będziesz wolna. Co zamierzasz wtedy zrobić, Lisso?

- Już ci mówiłam. Chcę organizować rejsy moją łodzią. Boże, naprawdę tak trudno pojąć, że chcę, by mój ojciec miał wszystko, czego potrzebuje? Że wtedy ułożę sobie własne życie tak, jak zawsze o tym marzyłam?

Życie, w którym nie ma miejsca na meble, nie ma miejsca na dom. To były odpowiedzi na wiele dręczących go pytań. Lissa Wilkins nie szuka niczego trwałego. Nie chodziło tylko o to, że on mógłby ją kiedyś zostawić. Bała się stracić swoją wolność.

Właściwie dlaczego tak go to zaskoczyło? Dlaczego było to takie bolesne? A on w swojej naiwności myślał, że płakała, bo nie dostała od niego żadnych gwarancji. Idiota. To ona powinna dawać gwarancje.

Minęła środa, czwartek i piątek... Gdzie podziwiał się Steve? Każdej nocy, gdy była w pracy, Lissa sprawdzała księgę gości, ale jeszcze się nie wymeldował. W czwartek poszła z ojcem i Rosą na kolację do „Chuckles”. Tam też go nie było. Siedziała potem ze trzy godziny w sali klubowej, ale Steve nie zszedł na dół. W piątek obito się jej o uszy, że widziano go na rybach. Podobno obiecał dać trzy łososie na planowany w czasie festiwalowego weekendu piknik.

Dobrze, unika jej. Niby powinna być zadowolona, ale bardzo za nim tęskniła. Gdyby tylko dał jej jeszcze jedną szansę... Może udałoby się wszystko wytłumaczyć.

W piątek wieczorem zastanawiała się, czy nie wejść na palcach na górę i nie zapukać do jego drzwi. Duma jednak ją powstrzymała przed tym krokiem. Duma i strach. Dopóki nie usłyszała z jego ust, że wszystko między nimi skończone, może jeszcze udawać, że czeka ich jakaś wspólna przyszłość. Przecież w udawaniu nie ma nic złego, prawda? Od czasu do czasu...

W sobotę rano, po strasznej, bezsennej nocy zmienił ją w recepcji skrzywiony jak zwykle Pete. Wciąż pamiętał Lissie ten ranek, kiedy zadzwoniła do niego z wiadomością, że wyjeżdża. Przez cały tydzień od jej powrotu uprzykrzał jej życie, jakby samo z siebie było nie dość przykre. Tego ranka zachowywał się jeszcze gorzej niż zwykle. Brała urlop na najbliższe dwa tygodnie, więc Pete musiał znaleźć sobie kogoś innego, na kim mógłby wyładowywać złość. Lissę miała zastąpić Gertie. Ale ją nie tak łatwo było zastraszyć. A już na pewno nie uda się to takiemu typowi jak Pete.

Jak to dobrze, że festiwal już za tydzień. Potem policzy się pieniądze i być może Pete straci pracę. Lissa nie mogła się tego doczekać.

Kiedy postawiła stopę na pokładzie swojej łodzi, zadzwonił telefon. Jeden z wystawców domagał się bieżącej wody w swoim stoisku. Lissa wyobraziła sobie pięćdziesiąt węży ogrodowych przeciągniętych przez park. Niezły pomysł!

Po chwili telefon zadzwonił znowu. Kolejny najemca straganu zgłosił się ze swoimi problemami i wątpliwościami, które musiała rozwiązać. Kiedy odłożyła słuchawkę, ktoś zaczął się dobijać do drzwi. W krótkim czasie pojawiło się u niej sześć osób. Większość z nich chciała zmienić lokalizację wynajętego stoiska.

- Pamiętaj o kierunku ruchu, Lisso - powiedział Hank Marsden, twórca rzeźb z kutego żelaza, który co roku brał udział w festiwalu. - Jeśli ludzie będą wchodzić do parku tędy - postukał brudnym palcem w plan rozłożony na stoliku - zanim dojdą do mnie, zdążą wydać już wszystkie pieniądze.

Co roku odbywała z nim tę samą rozmowę. Za każdym razem zmieniała lokalizację jego stoiska, Tym razem postanowiła się oprzeć.

Ktoś jeszcze zapukał do drzwi.

- Otwarte! - zawołała, mając nadzieję, że to kolejny niezadowolony z lokalizacji wystawca, który chętnie zamieni się z Hankiem.

Nie wiedziała jednak, czy mężczyzna, który właśnie zszedł na dół, nadal zamierzał brać udział w festiwalu. Na jej planie nie było stoiska oznaczonego jego nazwiskiem.

Chętnie zapytałaby go, po co tu przyszedł, ale zdobyła się tylko na kurtuazyjne kiwnięcie głową i wskazała mu sofę. Steve usiadł i zaczął przysłuchiwać się jej rozmowie z Hankiem.

- Czy mógłbym coś zasugerować? - wtrącił się w którymś momencie.

- Proszę bardzo - wydusiła z siebie zimnym tonem Lissa.

- Gdyby stoisko Hanka było tutaj - pokazał miejsce na planie - jego klienci mieliby blisko do parkingu.

Hank pochylił się nad planem z błyskiem w oku.

- Dobry pomysł. Rzeczywiście mieliby blisko. Ale czy jest ścieżka przez te krzaki?

Lissa wzruszyła ramionami.

- Nawet jeśli teraz nie ma, to na pewno niedługo będzie. Problem tylko, czy uda mi się przekonać do zamiany najemcę stoiska numer dwadzieścia trzy.

- Żaden problem - powiedział Steve. - To ja wynajmuję ten stragan. Jeśli to ma pomóc, chętnie się zamienię.

Lissa patrzyła na niego w milczeniu, próbując rozszyfrować jego minę. Udało mu się jednak zachować kamienną twarz.

- Świetnie! - wrzasnął Hank, klepiąc Steve'a po ramieniu. - Jesteśmy umówieni. A co, tak na marginesie, sprzedajesz?

- Szansę - odpowiedział Steve. - Daję ją i odbieram.

- A teraz, panowie - przerwała mu Lissa - jeśli pozwolicie, chciałabym położyć się na chwilę, bo pracowałam przez całą noc. - Za nic w świecie nie przyznałaby się, że nie spała z powodu Steve'a. - Wyłączam telefon, zawieszam na klamce napis „Nie przeszkadzać” i idę spać.

Hank, zadowolony, że załatwił swoją sprawę, zaczął teraz przeproszać za najście. Steve milczał. Odprowadził Hanka do drzwi, zamknął je za nim i stanął na wprost Lissy.

Ona gapiła się na pustą kartkę, którą wyrwała z notesu. Potem przeniosła wzrok na drugą dłoń, w której trzymała czarny mazak. Nie mogła opanować drżenia rąk.

- Lissa, spójrz na mnie - poprosił Steve.

Nie podniosła wzroku. Powoli i starannie napisała mazakiem na kartce: „Nie przeszkadzać”. Steve przytwierdził kartkę do drzwi, po czym zamknął je od środka na klucz. Lissa zatrzymała się w pół drogi między salonem a sypialnią. Nie mogła się zdecydować, czy ma kazać Steve'owi się wynosić, czy też błagać go, by został.

Zbliżył się do niej powoli. Zadrżała, kiedy poczuła jego palce na policzku. Nie cofnęła się.

- Czego tu szukasz? - zapytała. - Po co ci teraz stragan? Już wiesz, czyj tatuaż widziałeś i kto wpadł przez sufit do pokoju. Nie ma potrzeby szukać Kopciuszka. Zresztą powinieneś sam zauważyć, że na tym świecie nie ma prawdziwych księżniczek. Ani książąt.

- A smoki?

- Całe mnóstwo.

- I wszystkie chcesz pokonać? Sama?

- A tobie się wydaje, że pomagając nam zebrać pieniądze na kupno zajazdu, udowodnisz mi, że możesz mi w tym pomóc?

- Niczego nie zamierzam ci udowadniać, Lisso. Ale postawiłem tablice, obiecałem nagrody, nie mogę się więc wycofać.

Zacisnęła dłoń w pięści.

- W porządku. Niech będzie. Baw się w to poszukiwanie Kopciuszka. Ale skoro zadeklarowałeś cały dochód na nasz fundusz, nie jesteś tu potrzebny, bo i tak nie płacisz za wynajęcie stoiska.

- Muszę z tobą porozmawiać - oświadczył spokojnie.

- O czym? Wydawało mi się, że we wtorek wieczorem powiedziałeś wszystko, co miałeś do powiedzenia.

- We wtorek zachowałem się nieładnie. Trochę mnie poniosło.

Przecież dobrze wiem, że od dawna walczysz o zajazd. Wiem też, że wcale

nie byłem narzędziem w twoich rękach, że nie chodziło ci o to, by mi zawrócić w głowie. Zabrało mi trochę czasu, zanim to sobie uświadomiłem, przyznaję. Musiałem wszystko przemyśleć i zastanowić się, co dalej. Nigdy zresztą nie twierdziłem, że grzeszę nadmiarem polotu.

- Powiedziałeś, że mnie kochasz, Steve. A mimo to nie zawahałeś się oskarżać mnie o nieczyste intencje, kiedy tylko dowiedziałeś się, że nie chcę, by twój ojciec kupił zajazd.

- To prawda, Kocham cię. I myliłem się co do motywów twojego postępowania. Muszę ci też powiedzieć, że o ile mi wiadomo, mój ojciec nigdy nie słyszał o zajazdzie „Madrona”, ani nawet o wyspie Quadra. Nie przysłał mnie tutaj na zwiady. Może i ktoś interesuje się kupnem zajazdu, ale na pewno nie jest to mój ojciec. Ja przyjechałem tutaj, bo przyjaciel polecił mi to miejsce. Bywał tu z rodzicami, kiedy był dzieckiem. Nazywa się Jake Wallace.

- Pamiętam Jake'a.

- Byliśmy razem na statku ostatniej zimy.

Lissa odsunęła się od niego i spojrzała mu prosto w oczy. Szukała w nich potwierdzenia jego słów. Jeśli chodzi o Jake'a, skłonna była uwierzyć, ale reszta... Sama nie wiedziała, co o tym sądzić. Tak przyzwyczała się do myśli o Stevie Jacksonie seniorze zainteresowanym kupnem zajazdu, że trudno jej było tak łatwo o tym zapomnieć. No i poza tym, jeśli nie on, to kto?

- Wierz mi lub nie - powiedział cicho Steve, jakby wyczuwając jej wątpliwości. - To zależy od ciebie. O tym właśnie myślałem, kiedy mówiłem o szansie. Moim zdaniem stoimy właśnie przed szansą czegoś, co byłoby dobre dla nas obojga.

Innymi słowy - teraz kolej na jej ruch.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Ich spojrzenia się spotkały. Przez dłuższą chwilę Lissa nie była w stanie wykrztusić z siebie ani słowa. W końcu wyszeptała:

- Wierzę ci. Podszedł bliżej.

- Nie kłamałam, Steve.

- Kiedy mówiłaś, że ci na mnie zależy? Kiwnęła głową. Podszedł jeszcze bliżej.

- To mi nie wystarczy - oświadczył.

Nie potrafiła nic powiedzieć. Nie słowami. Przysunęła się do niego. Nagle wszystko znowu stało się takie, jakie powinno być.

Pocałunek był długi, namiętny, pełen obietnic na przyszłość. Kiedy po chwili Lissa otworzyła oczy, zobaczyła na twarzy Steve'a wyraz troski i miłości.

- Powinnaś się trochę przespać - zasugerował, biorąc ją na ręce i niosąc do sypialni. - A ja tu zostanę i będę pilnował, by nikt nie zakłócił ci spokoju.

Położył ją na łóżku. Nie wypuściła go z objęć.

- Nie mógłbyś mnie pilnować w pozycji horyzontalnej? Zaśmiał się i wyciągnął obok niej.

- Już się bałem, że nigdy mnie o to nie poprosisz.

- Myślę sobie - dodała po chwili - że może wcale nie jestem tak bardzo zmęczona, jak mi się wcześniej wydawało...

Zupełnie nieźle wyglądał z młotkiem w dłoni. A jeszcze lepiej, kiedy machał nim w czasie pracy. Lissa z lubością patrzyła, jak drgają jego mięśnie. Steve zbijał daszek swojego straganu z desek pomalowanych tak,

by przypominały kamienne bloki, z jakich mógłby być zbudowany zamek Kopciuszka. Przerwała pracę przy stoisku Caroline i patrzyła z zachwytem na ukochanego.

- Miałaś mi pomagać, a nie pożerać wzrokiem konkurencję. Lissa odwróciła się zmieszana i uśmiechnęła do koleżanki.

- Chociaż muszę przyznać - ciągnęła Caroline - że jest na co popatrzeć. Przyrowadzisz go na dzisiejszy lunch członków komitetu? Chyba sobie zasłużył. Pracuje z nami łeb w łeb.

Lissa potaknęła. Gdyby Steve nie szedł, ona też zrezygnowałaby z lunchu. Przerazało ją, jak bardzo potrzebuje jego bliskości. Przez cały czas chciała mieć go w zasięgu ręki, nieustannie słyszeć jego głos. Nie mniej przerażała ją świadomość, że ona jest tak samo potrzebna jemu. Że kocha ją naprawdę. Nie rozmawiali jeszcze o przyszłości, ale właściwie nie trzeba było o niej mówić. Musieli być razem, bo nie wyobrażali sobie, że mogłoby być inaczej.

Godzinę później wrócili razem na łódź, by wziąć prysznic. Potem czekał ich lunch z członkami komitetu.

- Może - Steve przytulił się do Lissy pod prysznicem - może byśmy...

Nie poszli na lunch, zdążyli za to być świadkami sprzeczki Pete'a i jakiejś około pięćdziesięciokilkuletniej, świetnie ubranej kobiety.

Pete oparł masywne dłonie o recepcyjny kontuar.

- Powtarzam pani po raz kolejny, że nie ma ani śladu rezerwacji na pani nazwisko i... - zamilkł na widok Lissy. - To na pewno ty przyjmowałaś rezerwację. Obiecałaś pani pokój i zapomniałaś wpisać do księgi...

Lissa cofnęła się o krok i zderzyła ze Steve'em, który otoczył ją ramionami i przytulił do siebie.

- Nie, Pete. Jak zapewne pamiętasz, przez ostatnie dwa dni nie było mnie w pracy.

- Wobec tego zdarzyło się to w czasie twojej ostatniej nocnej zmiany. Zawaliłaś sprawę, Lisso. Lepiej się przyznaj.

- Nie przyjmowałam tej rezerwacji.

- Wydaje ci się, że wszystko ci ujdzie na sucho, bo ta ruina należała kiedyś do twojej rodziny? Przyjmij w takim razie do wiadomości, moja panno, że twoje dni tutaj są policzone i...

W tym momencie z jadalni wyszli Frank i Rosa.

- Może trochę spokojniej - powiedział Frank do Pete'a. -

Przypominam ci, że w zajeździe są goście.

Jego wzrok zatrzymał się na kobiecie stojącej koło kontuaru.

Wyprostował się, wciągnął brzuch i wypiął pierś. Lissa przyglądała mu się zszokowana.

- Nie wtrącaj się, Franku Wilkinsie. Pamiętaj, że twoje rządy tutaj już się skończyły - powiedział Pete z pogardą w głosie.

- Panowie, najwyraźniej zaszła jakaś pomyłka - wtrąciła się nieznajoma. - Jestem pewna, że uda mi się bez trudu znaleźć pokój gdzieś indziej. Może podpowiedzą mi panowie, gdzie powinnam spróbować?

Pete prychnął głośno. Frank potarł brodę i nadal gapił się na gościa, jakby pierwszy raz w życiu widział na oczy kobietę.

W holu zapadła głucha cisza. W końcu Lissa zdecydowała się ją przerwać.

- Przykro mi, proszę pani, pani...?

- Forsythe. Nazywam się Loretta Forsythe.

Pani Forsythe uśmiechnęła się szeroko. Lissa zauważyła, że jej wzrok zatrzymał się odrobinę dłużej na Stevie, po czym przesunął na Franka. Chyba zrobił na niej nie mniejsze wrażenie niż ona na nim. Nieświadomie poprawiła sobie nawet misternie ułożoną fryzurę z ciemnozłocistych włosów i spojrzała na niego kokieteryjnie spod opuszczonych rzęs. Rosa też to zauważyła i cała się najeżyła.

- Przykro mi, pani Forsythe - powtórzyła Lissa - ale za kilka dni mamy w mieście wielkie święto. Dlatego nie ma żadnych wolnych pokoi. I obawiam się, że nie znajdzie ich pani nigdzie na wyspie. Żałuję, że nie możemy pani pomóc, ale...

Zamilkła, zdając sobie sprawę, jak fałszywie zabrzmiały jej słowa. Nie chciała, by ta kobieta zatrzymała się w zajeździe, bo bała się o ojca. Jak on może zachowywać się jak ostatni drań? Podrywa obcą kobietę na oczach Rosy.

- Pani mogłaby zająć mój pokój - wyrwał się Steve jak Filip z konopi.

Lissę zamurowało.

- Ale przecież... - umilkła, czując znaczący uścisk.

- Mam spędzić resztę wakacji na łodzi, więc i tak miałem się dziś wymeldować. Nie wiem tylko, czy nie odstraszą pani, pani Forsythe, trzy piętra stromych schodów i stare meble. Będzie pani spała w najprawdziwszym łóżku z baldachimem.

- Wspaniale - rozpromieniła się. - Bardzo panu dziękuję, panie...?

- Jackson. Steve Jackson. A to jest Frank Wilkins.

- Panie Wilkins, nawet pan nie wie, jak się cieszę, że pana poznałam - uśmiechnęła się szeroko. - Jak rozumiem, to pańska rodzina wybudowała

zajazd. Na promie kupiłam fascynującą książkę o Madrona Cove. Czytałam ją przez całą drogę na wyspę Vancouver.

- Mnie również miło panią poznać - odpowiedział Frank, zamykając jej dłoń w swojej. - To moja matka opisała dzieje zajazdu, ja później dodałem tylko kilka rozdziałów. Przedstawiam pani moją córkę, Lisę. Liczę, że ona wprowadzi poprawki do książki przed jej następnym wydaniem.

Lissa nie zamierzała komentować tej uwagi. Chciała tylko ściągnąć ojca z powrotem na ziemię.

- A to jest Rosa... - zamilkła, bo w tym momencie zauważyła, że starsza pani zniknęła.

- Pójdę się spakować - powiedział Steve. - To nie potrwa długo, pani Forsythe. Pewnie jest pani trochę zmęczona po podróży. Jestem pewien, że Frank chętnie znajdzie pani jakiś wygodny fotel w sali klubowej, a może nawet zorganizuje coś do picia. Czy nie tak, Frank? - Pobiegnął na górę, nie czekając na odpowiedź.

- O tej porze nie mam żadnej pokojówki - odezwał się ponurym głosem Pete. - Nie spodziewacie się chyba, że sam wleżę na górę i przygotuję pokój?

Lissa spojrzała na jego brzuszysko. Jeszcze się nie zdarzyło, by wdrapał się po schodach na najwyższe piętro. Chyba nie byłby w stanie. Może właśnie dlatego nie zajmował mieszkania kierownika zajazdu, które tam się mieściło. Ale za to stołował się w „Madronie”. Potrafił pochłonąć góry jedzenia.

- Liss się tym zajmie, prawda, kochanie? - powiedział jej ojciec. - Kiedy zarządzałem zajazdem, zwykle w czasie wakacji pracowała jako

pokojówka. Jestem pewien, że sobie poradzi. A teraz zajmijmy się tym drinkiem, pani Forsythe.

- Mówmy sobie po imieniu. Mam wrażenie, że zostaniemy przyjaciółmi.

Kiedy Lissa szła w stronę schodów, zauważyła Rose, która zaglądała przez uchylone drzwi. Niech diabli wezmą ojca! Co on wyprawia!

- Bardzo ci dziękuję - powiedziała z przekąsem do Steve'a, kiedy weszła na górę.

Popatrzył na nią zdziwiony.

- O co ci chodzi?

- O ciebie. Po diabła oddałeś pokój tej... tej podstarzałej femme fatale? Mój ojciec już pożera ją wzrokiem, a biedna Rosa... Można się było domyślić, że mu odbije.

- Rosa? Twój ojciec i Rosa są razem?

- Raczej byli. A teraz dzięki tobie... Gdyby ta kobieta musiała poszukać sobie pokoju gdzieś indziej, ojciec zapomniałby o niej szybko i... Zamilkła, bo Steve zamknął ją właśnie w uścisku swych ramion.

- A ty nie miałabyś najbardziej seksownego lokatora w mieście. Okazja spadła nam jak z nieba i chciałem ją wykorzystać. Oddaję pokój tej pani, a sam zyskuję pretekst, by przenieść się do ciebie i spędzać noce z tobą na łodzi. Oczywiście - dodał - możemy wstawić moje rzeczy do jednej z wolnych kabin, jeśli zależy ci na ochronie swojej reputacji.

Lissa westchnęła. Nie potrafiła oprzeć się temu facetowi.

- Nie wydaje mi się, by zostało mi jeszcze coś do ochrony. Nikt w Madrona Cove nie jest tak naiwny, by uwierzyć, że śpisz na innej koi.

- Masz coś przeciwko temu?

- Miałabym, gdybyś chciał mimo wszystko wycofać się z propozycji złożonej pani Forsythe i zostać tutaj.

- Boże! - krzyknęła Lissa dwa dni później, otwierając drzwi przed zapłakaną Rosą. - Co się stało? - zapytała idiotycznie, jakby nie wiedziała, o co chodzi. - Wejdz, usiądź. Zaparzę herbatę.

Kiedy wróciła z imbrykiem i kubkami, Rosa trochę się pozbierała. Wydmuchwała nos i wyprostowała się w fotelu.

- Twój ojciec zakochał się w tej kobiecie.

- Och, może to tylko jeden z objawów kryzysu wieku średniego.

- Doprawdy? Wiek średni w jego przypadku skończył się jakieś piętnaście lat temu. Ja jestem od niego starsza, a teraz znalazł sobie młodkę. Przez ostatnie dwa dni chodzi za nią krok w krok. Razem jedzą, siedzą u niej w pokoju. Mam uwierzyć, że niby tam sobie rozmawiają? Znam Franka Wilkinsa. Niezbyt jest rozmowny, raczej... - Umilkła i schowała twarz w dłoniach.

Lissa naląła do kubka ziołowej herbaty i włożyła go w trzęsące się dłonie Rosy.

- Nigdy o to nie pytałam, bo wydawało mi się, że to nie moja sprawa, ale ty i ojciec... Od dawna się zastanawiam, dlaczego się nie pobraliście.

- To moja wina. Nie mogłam. - Rosa spojrzała na Lisę. - Byłam zameżna. Mój mąż zmarł dwa lata temu po bardzo długim pobycie w szpitalu. Dokładnie miesiąc później twój ojciec miał wylew. Ja byłam już wolna, ale Frank chorował i wydawało mu się, że nie ma mi nic do zaoferowania.

- Teraz jest zdrowy.

- Ale nadal uważa, że małżeństwo byłoby z mojej strony poświęceniem. Ciekawe, co ma do zaoferowania tej kobiecie? Może nie musi jej niczego dawać? Wygląda na bogatą, prawda? I ona daje mu coś, czemu on nie potrafi się oprzeć. Może, na przykład, zamierza kupić mu zajazd. A ja? Mam sześćdziesiąt cztery lata, za kilka miesięcy przejdę na emeryturę, a to na pewno nie uczyni mnie bogatą. W każdym razie nie dość, by kupić mu zajazd.

- Zajazd kupimy my wszyscy, mieszkańcy Madrona Cove, Roso. Tegoroczny festiwal zapowiada się na wspaniale. Tylko poczekaj. A kiedy ojciec znowu będzie zarządzał „Madroną”, wprowadzicie się razem do mieszkania na piętrze.

- Dzięki za słowa pociechy, Lisso. Jakoś jednak nie bardzo wierzę w tę świetlaną wizję.

W czwartek o dziesiątej rano Lissę odwiedził John Drysdale. Przyniósł wieści, które zelektryzowały całe miasto. Miał na sobie świeżo wypastowane buty, niebieski garnitur i czerwony krawat. Na głowie, jak zawsze, precyzyjną fryzurę. Pomiedzy ubranymi w dzinsy mieszkańcami miasta wyglądał jak postać z innej bajki.

- Musicie złożyć swoją ofertę do wpół do szóstej w sobotę.

Lissa upuściła tarczę strzelniczą, którą właśnie przybijała do słupka. Upuściła też młotek. Spadł jej na nogę, ale prawie nie poczuła bólu.

- O czym ty mówisz? - zapytała, choć dobrze знаła odpowiedź na swoje pytanie.

- Ktoś złożył ofertę wczoraj o wpół do szóstej. Macie siedemdziesiąt dwie godziny, by złożyć swoją. Przyjechałem najszybciej, jak mogłem, żeby was zawiadomić.

- To nie może być prawda! Powiedz, że żartujesz.

Pokręcił głową. Lissa zamknęła oczy. Nie chciała przyjąć tego do wiadomości. Żołądek nagle zrobił się jej ciężki jak kamień. Głowa pulsowała. Jak to możliwe? Przecież Steve powiedział... Nie! Wszystko podpowiadało jej, że nie kłamał. Kocha ją. Musi mu ufać. To nie jego ojciec złożył ofertę. Ktoś inny. Ale kto?

Nie zdawała sobie sprawy, że wypowiada swoje myśli na głos. Uświadomiła to sobie dopiero wtedy, kiedy John Drysdale przerwał chaotyczny potok jej słów.

- Lissa, sama wiesz, że nie mogę ci powiedzieć, kto jest potencjalnym nabywcą. Musicie zjawić się z pieniędzmi w garści przed wpół do szóstej w sobotę albo wypadacie z gry.

Jak on może mówić o tym z taką obojętnością? Przecież doskonale zdaje sobie sprawę z tego, ile to wszystko znaczy dla członków komitetu, dla jej ojca.

- John, wiesz dobrze, że będziemy mieli pieniądze najwcześniej w niedzielę! Nie możesz nam tego zrobić!

- To nie zależy ode mnie, Lissa. Reprezentuję sprzedającego. Nie mogę odrzucić oferty kupna bez poważnego powodu. Nabywca posiada gotówkę.

- Ale my też zdobędziemy pieniądze! Pośrednik wzruszył ramionami.

- Może i tak, ale jeśli nie będziecie ich mieli przed wpół do szóstej w sobotę, nic się nie da zrobić. Przykro mi. Do zobaczenia.

- Poczekaj! - Lissa pobiegła za nim. - John... nie mów o tym nikomu. Nie teraz. Proszę. Nie przed samym festiwalem.

- Dobrze. Będę trzymał język za zębami. Tylko pamiętaj - czek przed wpół do szóstej w sobotę. Potwierdzony - dodał.

Lissa znowu zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, Johna Drysdale'a już nie było.

Dwadzieścia minut później wpatrywała się skonsternowana w liczbę, którą pokazała jej w księgach skarbniczka komitetu, Debbie Hix. Debbie była obrotną kobietą, właścicielką sklepu z narzędziami i niezłą księgową. Znała się na rzeczy. Popatrzyła na Lissę i przesunęła dłonią po swoich króciutko obciętych włosach.

- Obawiam się, że to sytuacja bez wyjścia, skarbie.

- Nawet jeśli zbierzemy pieniądze w sobotę przed piątą od tych, którzy prowadzą bezpłatne stoiska?

Debbie pokiwała ze smutkiem głową.

- Nie starczy. Zabraknie procentów od pozostałych straganów.

- W takim razie wszystko stracone.

Debbie popatrzyła znowu na cyfry zapisane w księgach.

- Może powinniśmy spróbować pożyczyć pieniądze. Gdyby sklep z narzędziami nie był obciążony hipoteką, zaoferowałabym go jako zastaw, ale...

Lissa przytuliła ją mocno. Wiedziała dobrze, że staranie o pożyczkę jest w ich sytuacji właściwie beznadziejne. Jako grupa praktycznie nie mieli majątku. Żaden bank nie będzie chciał z nimi rozmawiać.

- Dzięki, Deb. Zrobiłabym to samo z łodzią, ale cięży na niej taka hipoteka, że boję się nawet o tym myśleć. Boże, jak ja mam to powiedzieć ojcu?

Debbie spojrzała na nią ze zrozumieniem.

- Więc nic mu nie mów. Przynajmniej na razie. Niech się cieszy festiwalem. W końcu jeszcze nie przegraliśmy. Zostały nam siedemdziesiąt dwie godziny, aby coś wymyślić .

Lissa opuściła sklep pełna wątpliwości. Jedyne, czego teraz chciała, to znaleźć się w ramionach Steve'a.

Był dokładnie tam, gdzie spodziewała się go znaleźć.

- Tu ukryję dzieciaka - Lissa słyszała jego głos, ale samego Steve'a nie widziała, bo był schowany za ladą stoiska - który będzie nakładał buty kandydatkom, między innymi ten sandał.

Kobieta, do której mówił, zaśmiała się głośno.

- Kochanie, skoro wiesz, kto był na strychu, po co sprawdzać, do kogo należy sandał?

Lissa stanęła jak wmurowana. „Kochanie”?

- Dla zabawy - odpowiedział Steve. - Ktoś przecież musi zdobyć główną nagrodę, mamó.

Lissa wpatrywała się w plecy Loretty Forsythe okryte elegancką, jedwabną bluzką. „Mamó”?

W głowie szumiało jej tak mocno, że prawie umknęły jej kolejne słowa Steve'a.

- Dlaczego nie ktoś, na kogo rzeczywiście pasuje sandał? Jak się już bawić w Kopciuszkę, to na całego. Tato zafundował w nagrodę dwutygodniowe wakacje, niech więc ktoś z nich skorzysta.

- Szkoda, że to nie jest sandał twojej Lissy, Stevie. Gorące źródła to zupełnie niezłe miejsce na miesiąc miodowy. Prawie tak dobre jak „Madrona”.

Steve wyprostował się.

- Pozwól, że tym zajmę się sam, mammo. Ostatnia rzecz, której pragnę, to... Lissa!

Stała, wpatrując się w niego uważnie. Widziała malujące się na jego twarzy poczucie winy.

- „Mamo”? Ta kobieta jest twoją matką?

- Tak - przyznał, ruszając w jej stronę. - Lisso, na Boga, nie patrz tak na mnie! Proszę cię, wysłuchaj mnie. Mogę wszystko wyjaśnić. Ja...

- Niech cię piekło pochłonie, Stevenie Jacksonie. - Lissa nie pozwoliła mu podejść do siebie. - Idź do diabła. Ja, głupia idiotka, uwierzyłam ci, zaufałam. Już nigdy nie dam się nabrać. I pomyśleć, że przyszłam do ciebie po pociechę na wieść o tym, że ktoś złożył ofertę kupna zajazdu i zostały nam tylko siedemdziesiąt dwie godziny na zdobycie pieniędzy! Dobrze! Niech będzie! Wygrałeś. Nie uda nam się przebić waszej oferty do soboty. Mam nadzieję, że ty i twoja rodzina docenicie to, coście sprzątnęli nam sprzed nosa.

Obróciła się na pięcie i przeszła szybkim krokiem przez park, nie widząc i nie słysząc nikogo. Pięć minut zajęło jej zdjęcie cum i wyprowadzenie „Pani Kapitan” z zatoki. Uciekała i było jej to najzupełniej obojętne.

W końcu ile smoków może pokonać jedna kobieta? Rzuciła wyzwanie ostatniemu i przegrała. Zabawne, że nigdy dotąd nie zauważyła, jak bardzo smok przypomina węża.

Szkoda, że muszę wrócić do Madrona Cove na festiwal, pomyślała. Najchętniej wybrałabym się w długą podróż.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Ależ był z niego czarujący książę! Wyglądał dużo lepiej w purpurowych pończochach i bufiastych spodenkach w pasy, niż Lissa mogła się spodziewać. Złocisty kaftan opinał szczelnie jego muskularny tors. Na głowie miał oczywiście koronę ozdobioną otokiem z gronostajów.

Przez książęcy stragan przewijał się tłum kobiet, marzących o tym, by zostać Kopciuszkiem. Steve prowadził każdą do wspaniałego tronu, sadzał na nim, jakby była prawdziwą księżniczką, i wręczał owinięty złotym papierem kuchenny tłuczek. Następnie klękał przed damą i mierzył buty. W przeważającej większości przypadków nie pasowały, ale i tak każda z pań odchodziła rozanielona, bo jako nagrodę pocieszenia otrzymywała pocałunek od czarującego księcia.

Lissa doszła do wniosku, że nie powinna była wracać. Uświadomiła to sobie w momencie, gdy zacumowała łódź i dotarły do niej odgłosy festiwalowej zabawy, która toczyła się w najlepsze. Nikomu najwyraźniej jej nie brakowało.

Postanowiła, że nie da po sobie poznać, co się z nią dzieje, nie pokaże, jak bardzo cierpi. Ani Steve'owi, ani innym. Przeszła się po festiwalowym parku, zaglądając do większości stoisk. Starła się zachowywać, jakby nic się nie stało. Przecież w końcu była współorganizatorką całej tej imprezy. Zamieniła więc kilka słów z wystawcami, śmiała się i żartowała, nie zważając na swój ponury nastrój.

- Hej, Caroline, może cię zastąpić? - zapytała, podchodząc do Straganu Pocałunków.

- Wspaniały pomysł. Zaczynają mi już puchnąć wargi. Muszę dać im trochę odpocząć.

Lissa włożyła w zastępstwo całe swoje serce. Złamała nawet zasadę ustanowioną przez Caroline - wolno dotknąć klienta tylko i wyłącznie wargami. Wkrótce przed jej stoiskiem ustawiała się kolejka nie krótsza niż u Steve'a, a w kasie pobrękiwało coraz więcej pieniędzy. Lissie szumiało już w głowie. Bolały ją usta. W którymś momencie pomyślała, że w takim tempie sama zbierze dość pieniędzy do piątej po południu.

Caroline wróciła po przerwie na lunch. Rzuciła okiem na pełną kasę i stanęła obok Lissy, żeby pomóc jej obsłużyć klientów.

- Szkoda, że tak długo trzymałam się zasady: usta-usta - szepnęła do Lissy między jednym a drugim pocałunkiem. - Gdybym stosowała twoją metodę, już dawno mielibyśmy dość forsy! Mam nadzieję, że możesz zostać tu ze mną do wieczora. Gdyby przyszedł Jase, powiem mu, że to kolejka do ciebie, nie do mnie.

Caroline pocałowała następnego mężczyznę tak namiętnie, że stanął jak osłupiały. Kiedy Lissa spojrzała na swojego kolejnego klienta, zobaczyła wlepione w siebie niebieskie oczy, a nad nimi złotą koronę wykończoną gronostajowym futrem.

- Gdzieś ty się podziewała? - zapytał cicho, wyraźnie zły. - Odplynęłaś sobie i zabrałaś wszystkie moje rzeczy. Nie miałem się nawet czym ogolić! Twój ojciec nieprzytomnie się o ciebie martwił.

A co ją to obchodzi, że Steve nie miał się czym ogolić. Zresztą wyglądał doskonale, więc najwyraźniej jakoś sobie z tym poradził.

- Niedługo będzie się zamartwiał czymś innym, dużo poważniejszym, prawda? - Spojrzała na zegarek. Było pięć po wpół do drugiej.

- Lisso, jeśli się nie...

- Ej, koleś, płac, całuj i wynoś się stąd. Ludzie czekają - powiedział gniewnie mężczyzna stojący za nim.

Steve spojrział na niego przez ramię.

- Idź do Caroline - zaproponował. - Ona też prowadzi Stragan Pocałunków.

- Ale ja stoję w kolejce właśnie do tej. Ruszaj się, bo zaraz ci to wytłumaczę w inny sposób.

Steve położył pieniądze na ladzie, objął Lissę i pocałował ją tak, że zawirowało jej w głowie. Prawie się zatoczyła, kiedy wypuścił ją z objęć. Postanowiła jednak nie dać nic po sobie poznać. Wrzuciła pieniądze do kasy i odwróciła się do następnego klienta. Kątem oka dostrzegła jeszcze Steve'a odchodzącego w stronę swojego straganu. Czekają tam na niego ze dwadzieścia kobiet.

Pracowały z Caroline dalej. Pieniądze piętrzyły się na ladzie. Lissa miała obolałe usta. Bardziej jednak bolało ją serce. W którymś momencie zobaczyła Rosę, która przechadzała się po parku, z wymuszonym uśmiechem przyklejonym do warg.

- Caroline, idę już stąd - powiedziała Lissa.

- Dobrze. Dzięki za pomoc. Sporo zarobiłyśmy.

- Roso! - zawołała Lissa, podbiegając do starszej kobiety. - Chcę ci coś zaproponować.

- Tak? Słucham.

- Chodzi o coś, co, jak sądzę, trochę cię rozbawi. Chociaż na moment.

Rosa spojrziała na nią uważnie.

- Nic innego nie robię, tylko się uśmiecham.

- Tak, ale mam nadzieję, że teraz uśmiechniesz się szczerze.

Steve zobaczył Lissę zbliżającą się do jego straganu jakieś dziesięć minut przed piątą. Kolejka kandydatek na Kopciuszka zmniejszyła się znacząco. Zostało ich już tylko kilka. Wszystkie już wcześniej mierzyły buty. Na jedną z nich nawet pasowała któraś para, więc jej nazwisko wisiało wypisane na tablicy. Odebrały też należne im pocałunki i stały przy straganie, gawędząc z czarującym księciem.

Lissa maszerowała w ich stronę w towarzystwie kobziarza i dobosza. Piskliwe dźwięki kobzy i dudnienie bębna ściągnęły pod stragan Steve'a tłum gapiów z całego parku.

- Wasza książęca mość - powiedział Steve, uchylając przed nią korony i kłaniając się nisko, jak zresztą robił w przypadku każdej swojej klientki. - Czy chce pani zmierzyć pantofelek?

- Tak - odpowiedziała tonem mrozącym krew w żyłach i spojrzała na niego z pogardą. Nie przyszła do niego prosić o przebaczenie, to było widać na pierwszy rzut oka. Ani żeby go przeprosić za brak zaufania, jaki mu okazała. Miał ochotę powiedzieć jej, żeby poszła do diabła, ale nie mógł tego zrobić. To przecież była Lissa. Jego Lissa. Jeśli istniała choćby najmniejsza szansa zakopania topora wojennego, musiał ją wykorzystać.

Posadził Lissę na tronie. Kobza ucichła, ale dobosz nadal walił w bęben.

Lissa położyła pieniądze na ladzie.

- Dochodzi piąta. Przyszłam skorzystać z szansy, która mi przysługuje.

Chciał jej powiedzieć, że jest jego księżniczką bez mierzenia butów. Jednak powstrzymał go chłód pobrzmiwający w jej głosie. Pantofel oczywiście nie pasował. Ani pierwszy, ani drugi. Steve dobrze wiedział, że

trzeci, ten duży sandał, który zgubiła w jego pokoju, też nie będzie pasował.

Lissa wstała.

- Ten dzień nie należy chyba do moich najszczęśliwszych, książę.

- Proszę poczekać - oświadczył. - Każdy bilet to trzy próby. Usiądź proszę, moja pani, i spróbuj jeszcze raz. - Położył jej rękę na ramieniu i wyszeptał do ucha: - Lissa, proszę cię.

- Nie - odparła, odsuwając się od niego.

Zanim Steve zdążył się zorientować, Lissa posadziła na tronie Rose.

- Trzecią szansę oddaję mojej zaufanej damie dworu - oznajmiła głośno. - Proszę, książę, włóż ostatni pantofel na jej stopę.

Wiedział, że sandał będzie pasował, jeszcze zanim uklęknął obok tronu. Rosa wyciągnęła po chwili z torby drugi sandał do pary.

- Widzisz? Równie trudno znaleźć w tłumie księżniczkę, jak księcia - powiedziała Lissa.

Na jej sygnał do straganu zbliżyła się najdziwniejsza maszyna, jaką Steve kiedykolwiek widział. Do dachu karoserii niedużego samochodu przymocowano połowę wielkiej, pomarańczowej rybackiej boi. Pojazd ciągnęło czterech mężczyzn w szarych frakach i mysich maskach na twarzach.

Zanim Steve zdążył cokolwiek z siebie wykrztusić, Lissa już wzięła sprawy w swoje ręce.

- No i co, czarujący książę, nie zamierzasz poprowadzić swojej księżniczki na nasze małe podium i ogłosić całemu światu, że właśnie ją znalazłeś?

Lissa podeszła do dziwaczego pojazdu, otworzyła drzwi, ukloniła się jak stangret i stanęła z boku.

- Księżniczko Roso?

Rosa uśmiechnęła się złośliwie, usadowiła wygodnie w środku i wysunęła dłoń w stronę Steve'a.

- Mój książę, pójdz do mnie.

Ktoś z tyłu kopnął go w jego książęcy tyłek odziany w pasiaste spodenki. Steve wylądował w środku „karocy”, dokładnie na kolanach Rosy. Wokoło rozległ się gromki śmiech i zabrzmiały zachęcające okrzyki. Czterech mężczyzn w mysich przebraniach ruszyło w stronę podium, ciągnąc za sobą pojazd.

W którymś momencie Steve obejrzał się do tyłu i zobaczył kobietę, której smoki chciał posiekać na drobne kawałki. Pchała pojazd. Jęknął głośno.

- Gdzie, u licha, popełniłem błąd? - wymamrotał pod nosem.

- Tam, gdzie większość mężczyzn go popełnia - odezwała się Rosa. - Okłamałeś kobietę, oszukałeś ją i zraniłeś tak głęboko, że teraz szczerze cię nienawidzi.

Steve milczał. Widział, że Rosa wszystko to mówi z głębi serca.

Kiedy dotarli do podwyższenia, miejscowy polityk właśnie wieszał tablicę z nazwiskami wszystkich, którzy wygrali nagrody w czasie festiwalu. Także tych ze straganu Steve'a. Brakowało ostatniego. Lissa wzięła do ręki mikrofon.

- A teraz coś, na co wszyscy czekaliśmy. Czarujący książę znalazł prawdziwą księżniczkę. Wiele kobiet przymierzyło dziś pantofel, ale pasował tylko na tę jedną jedyną stopę. Książę, zapoznaj nas ze swoją wybranką.

Steve gapił się na Lissę osłupiały. Jak mógł się w coś takiego zaplątać?

- Dziękuję, pani Wilkins - powiedział, biorąc od niej mikrofon. -
Panie i panowie, chciałbym przedstawić moją księżniczkę. Rosa... Rosa... -
Jak ona ma, u diabła, na nazwisko? - Rosa, pani na Madrona Cove.

Podprowadził Rosę do przodu, uniósł jej rękę do ust i pocałował
koniuszki palców.

- Zgodnie z zapowiedzią ogłoszoną w imieniu księcia przez jego
heroldów - Lissa przejęła mikrofon - Rosa, pani na Madrona Cove,
poinformuje nas teraz, kogo wybrała na towarzysza namiętnych dwóch
tygodni, które spędzi w hotelu „Happy Valley” w Hot Springs. Pani? -
Podała jej mikrofon, a sama odsunęła się na bok.

Rosa popatrzyła na tłum zebrany wokół sceny, jakby szukała
odpowiedniego kandydata. Nie śpieszyła się. Rozległo się rytmiczne
dudnienie bębnów. Napięcie rosło. Stała na samym brzegu podium,
oparła ręce na kościstych biodrach i uważnie przyglądała się twarzom
widzów.

Steve chciał właśnie poprosić, żeby już skończyła ten cyrk, i wtedy
właśnie Rosa odwróciła się i wycelowała w niego palcem.

- Wybieram ciebie, kochasiu. Nieźle wyglądasz w tych purpurowych
rajstopkach. Namiętne dwa tygodnie, powiedziałaś? - zwróciła się do
Lissy. - Niewiele tego miałam ostatnio. Myślę, że on się nada.

Poklepała Steve'a po policzku, po czym przesunęła palec w dół, po
klatce piersiowej i pociągnęła za pasek jego spodni.

Steve miał wrażenie, że za moment zemdleje. Pulsowało mu w
skroniach. Przed oczami latały czarne płatki. Wtedy nagle ktoś podszedł do
nich od tyłu i zdecydowanym ruchem odsunął go od Rosy.

- Co ty sobie, kobieto, wyobrażasz? Chcesz namiętności? Czemu nie
wybierzesz mnie?

- Niech cię лихо weźmie, Franku Wilkinsie! - wrzasnęła Rosa. - Ciebie nie zabrałabym nawet do kina na najgorszy film, a co dopiero na dwutygodniowe wakacje, ty zakłamany, stary capie! Kręciłeś się koło tej baby, bo ona i jej synuś kupią zajazd. Wydaje ci się, że będzie chciała żyć z tobą na strychu pełnych starych mebli, które powinieneś był wyrzucić na śmietnik ze trzydzieści lat temu? Myślisz, że za dwa lata „Madrona” nadal tu będzie? A ty razem z nią?

- Żebyś wiedziała, że będę. Razem z tobą, kobieto! Zajazd nie dostanie się nikomu innemu. Tak samo jak ty. Jeśli zgodzisz się wziąć mnie. I zajazd.

- Och, Frank...

- Och, tato...

Steve usłyszał jęk Lissy. Chciał chwycić ją za rękę, ale była za daleko. Jej ojciec i Rosa obejmowali się tak mocno, że zaczął się obawiać, iż do ich rozdzielenia potrzebny będzie strumień zimnej wody ze strażackiej sikawki.

Rosa po kilku minutach wyswobodziła się z objęć Franka. Była zarumieniona, oczy jej błyszczały.

- Starczy już, bałwanie - powiedziała, nie zdając sobie sprawy, że stoi koło mikrofonu.

- Chyba masz rację - odparł Frank, rozbawiając tłum jeszcze bardziej. - Powiniennem się oszczędzać na te dwa tygodnie, które nas czekają. Bo kiedy już wrócimy, nie będziemy mieli zbyt wiele czasu na figle. Czeka nas sporo pracy w zajeździe.

- Tato! Muszę ci coś powiedzieć. - Lissa chwyciła ojca za łokieć. - Powinnam ci to powiedzieć już wcześniej. Nie udało się. Już po wpół do szóstej. Za późno na złożenie oferty. Ktoś inny kupi zajazd.

- Nieprawda - odpowiedział Frank. - My go kupimy. Pete, który znalazł się w okolicach podium, wybuchnął śmiechem.

- Tak ci się tylko wydaje, staruchu! - krzyknął, wyciągając z kieszeni jakiś papier i machając nim w stronę tłumu. - Gdzie John Drysdale? Mam tu dowód. Biorę wszystkich na świadków. Zajazd należy do mnie.

- Bzdura - wtrącił się Frank. - Złożyliśmy ofertę o trzeciej. Spocona twarz Pete'a posiniała z wściekłości.

- To kłamstwo! Zajazd jest mój. Ja...

- Pete, Pete! - Przez tłum przepychał się John Drysdale.

- Mówiłem ci, żebyś nie dzielił skóry na niedźwiedziu, zanim wybiję wpół do szóstej. Szukałem cię wcześniej, żeby ci powiedzieć o ich ofercie. Czemu w tym cholernym Madrona Cove nikt nie odbiera telefonów? Nic na to nie poradzę, ale zajazd należy do nich. Przebili twoją ofertę.

- To... to niemożliwe. Poświęciłem się. Zrezygnowałem ze swoich zasad, doprowadziłem zajazd do ruiny, żeby go tanio kupić i...

- Pete, lepiej się zamknij. - Drysdale odciągnął go na bok. Jednak było już za późno. Wygadał się i wszyscy to słyszeli. Steve'owi było go nawet trochę szkoda.

Lissa nadal gapiła się na ojca.

- Ale... skąd wzięłeś pieniądze?

- Pamiętasz te stare graty na strychu? - Ojciec położył jej rękę na ramieniu i przyciągnął do siebie. - Loretta, matka Steve'a, kupiła wszystkie, z wyjątkiem łoża z baldachimem, w którym urodziłem się ja, a wcześniej mój ojciec. Zebrała się z tego niezła sumka. Z nawiązką starczyło na kupno zajazdu. Chyba sprzedałem twój posąg, Melisso, ale przecież nigdy go nie chciałaś. Pomyślałem więc, że nie będziesz miała nic przeciwko temu. - W tym momencie spojrzął na zgromadzony wokół tłum.

- Mam tylko nadzieję, że komitet wybaczy mi kupno zajazdu. Wiem, że wszyscy ciężko na to pracowali. Chciałbym wyrazić swoją wdzięczność, bo wiem, że cała akcja wynikała z sympatii dla mojej rodziny. Myślę jednak, że jest wiele innych rzeczy, których nasza społeczność potrzebuje bardziej niż tego zajazdu. Ponieważ ja poprowadzę teraz własny interes, chciałbym zrezygnować ze stanowiska przewodniczącego komitetu. - Popatrzył na Rosę i powiedział: - Jako mąż będę potrzebował mnóstwa czasu dla swojej żony. - Przerwał i spojrzał na Lissę, a następnie na Steve'a. - Wkrótce też mogę zostać dziadkiem. Mam nadzieję, że moje wnuki będą zainteresowane prowadzeniem zajazdu. I że przyjmą go jako swoje dziedzictwo.

Wypuścił z objęć Lissę i zszedł z podwyższenia pod rękę z Rosą.

Lissa stała naprzeciwko pełnego wyczekiwania tłumu. Powoli sięgnęła ręką w stronę mikrofonu i wyłączyła go. Nie było nic więcej do powiedzenia. Jedyne, co mogła teraz zrobić, to... iść do domu.

- Moja pani? - wyszeptał prosto do jej ucha Steve.

- Nie jestem twoją panią.

- Dobrze wiesz, że jesteś. Pozwól, że ci to udowodnię.

Zanim zdążyła zareagować, wziął ją na ręce i zaniósł prosto do dziwnego pojazdu. Ułożył ją w środku na siedzeniu, sam również tam wsiadł, zamknął drzwiczki i wziął Lissę w ramiona.

- Masz mi coś do powiedzenia? - zapytał.

Lissa długo patrzyła mu prosto w oczy. Nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów. W końcu kiwnęła głową.

- Przepraszam, pomyliłam się.

- No i co dalej?

- Przepraszam, że nie miałam do ciebie zaufania, że podejrzewałam cię, iż działasz za moimi plecami, chociaż wcześniej powiedziałeś, że nie przyjechałeś tu, by kupić zajazd.

- Może jeszcze coś?

Lissa na moment wstrzymała oddech.

- Kocham cię - wykrztusiła i pocałowała go.

- To dobrze. - Oderwał usta od jej warg, gdy pojazdem zarzuciło na wybojach. - W takim razie zrobisz coś dla mnie?

- Jeśli będę w stanie.

- Nie całuj mnie - jęknął żałośnie - co najmniej przez tydzień.

- Tak długo? - zaprotestowała.

- Co najmniej.

Tymczasem pojazd się zatrzymał.

- Przepraszam, ale nie uda nam się wciągnąć was na to wzgórze - powiedział jeden z mężczyzn w mysich kostiumach, zaglądając do środka. Lissa rozpoznała głos Reggie'ego. - Liss, obawiam się, że ty i twój księżę dalej musicie pójść na własnych nogach.

- Nie ma mowy - odparła. - Mój księżę jest zbyt ładny na to, by chodzić piechotą. Mógłby sobie pobrudzić atłasy i jedwabie, w które jest odziany. - Wskoczyła szybko lewymi drzwiami i zapytała: - Może dacie radę, jeśli ja będę pchać od tyłu?

- Niezły pomysł - przyznał Reggie.

- Księżniczko - zaczął Steve, wyskakując na zewnątrz i pomagając jej pchać pojazd - czy nadejdzie dzień, kiedy pozwolisz mi rozprawić się ze swoim smokiem?

- Raczej nie. Kilku możemy ewentualnie stawić czoło razem.

Lissa leżała w ramionach Steve'a w sypialni na łodzi zakotwiczonej gdzieś w pobliżu Madrona Cove, ale na tyle daleko, by z łatwością mogła zapomnieć o całym świecie. Łódź kołysała się łagodnie na falach. Na ciemnym niebie mrugały gwiazdy.

Męskie dłonie wędrowały powoli po jej ciele i zatrzymały się na pośladku z tatuażem.

- Wiesz, kiedy zobaczyłem go pierwszy raz, wydawało mi się, że to pająk. Głupiec ze mnie. Cóż innego mogła sobie wytatuować moja Lissa w takim miejscu, jeśli nie szerszenia?

- Użądli cię tylko wtedy, jeśli będziesz się nieodpowiednio zachowywał.

- Na przykład tak jak teraz?

Przeszył ją dreszcz rozkoszy. Steve jednak chciał porozmawiać.

- Twój tato o czymś wspomniał - wyszeptał jej prosto do ucha.

- Mój tato w ogóle dużo mówi. - Lissa uniosła się na łokciu i spojrzała wyczekująco na Steve'a. - W przeciwieństwie do ciebie.

Dlaczego od razu mi nie powiedziałaś, że Loretta to twoja matka?

Dlaczego nie zdradziłaś mi, po co przyjechała?

- Frankowi na tym zależało. Bał się rozbudzać twoje nadzieje, dopóki nie zyska całkowitej pewności, że transakcja się powiedzie.

- Dobrze wiedział, że wbrew temu, co czasem wygaduję, nigdy bym nie zostawiła ani jego, ani zajazdu, w tak trudnej sytuacji.

- Właśnie. A on chce, żebyś wiodła takie życie, jakie ci odpowiada. Ale mnie chodziło o to, co powiedział o wnukach... Co o tym myślisz, Lisso?

- Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby pewnego dnia mieć gromadkę wnuków.

Roześmiał się i objął ją mocniej.

- Ale najpierw... Wiesz, co musisz zrobić najpierw, prawda?

- Nie mam zielonego pojęcia. - Udała zaintrygowaną. - Powiedz, co takiego?

Powiedział jej na ucho. Lissa usiadła na łóżku i popatrzyła na niego, pozornie zszokowana.

- Naprawdę? Stąd się biorą wnuki?

- Niestety. Obawiam się, że tak. No, to co o tym myślisz? Co robimy? Oczywiście, jeśli jesteś w stanie zaakceptować bezrobotnego nurka w roli ojca.

- Zastanawiałam się nad tym. Co byś powiedział na wejście do spółki jachtowej? - Puściła do niego oko i dodała: - Ja bym sterowała, a ty byś nurkował.

Steve nadał się, słysząc, że Lissa nie pozwoli mu prowadzić łodzi. Ale po chwili już się rozchmurzył.

- Jestem pewien, że uda nam się wypracować jakiś sensowny układ. Ale teraz wolałbym porozmawiać o wnukach i o tym, co musimy zrobić, by je kiedyś mieć.

- Cóż, jeśli to jedyny sposób... Chyba nie mam wyboru. Steve całował ją długo i namiętnie.

- Kochaj mnie, Lisso - wyszeptał.

- Będę. Teraz i zawsze.